ODGŁOSY

ROK XIX NR 50 (992) 12 GRUDNIA 1976 R. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

PIŁKA NOŻNA (3)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KWADRANS ŚPIĄCEJ KRÓLEWNY

Ciągle jeszcze odczuwałem pragnienie wysiłku; koks domagał się spalenia. Gdyby grali szybciej, mógłbym zatańczyć. Widziałem na parkiecie byczy kark Dawida, który wjeżdżał kolanem w pijaną, utlenioną dziewczynę. Reszta Interu siedziała przy połączonych stolikach pod estradą — szczęśliwe, rozmemłane twarze facetów, którym odroczono wyrok; załzawione oczy, rozdygotane ręce, sięgające co chwilę po butelki wody mineralnej o mocy czterdziestu pięciu procent. Któryś wykonał w moim kierunku zapraszający gest. Odwróciłem głowę. Dzięki nim, albo raczej, dzięki pieniądzom ich klubu, wielu ludzi przegrało dzisiaj w toto-lotka, a wielu innych wygrało. Jakiś łajdak stracił na korzyść innego łajdaka, jakiś biedak w potrzebie na korzyść innego biedaczyny. W sumie nadrzędne, sprawiedliwe działanie losu precyzyjnie zrotowało jednych na drugich, ustalając prawidłowy bilans szczęścia. Gdyby pominąć zasadę, albo — mówiąc wzniośliej — ideę, wszystko było w najlepszym porządku. Tylko że oprócz totalizatora byli jeszcze bukmacherzy, przyjmujący zakłady na to jedno jedyne konkretne spotkanie. Tu szwindel rysował się ostrzej.

Kelner podstawił mi nagrzany talerz, na który ściągnął nożem ze szpady tłuste, przełożone cebulą i boczkiem plastry mięsa. Podał jeszcze na osobnych talerzach paprykę i ryż, nalał piwa do szklanki i odszedł. Jadłem machinalnie, szybko lecz bez apetytu, zapominając o parach oczu, które śledziły każdy mój krok. Orkiestra grała teraz tango i moje myśli nawijały się na melodię, podobnie jak myśli człowieka zasypiającego przy muzyce radiowej. Bywa nieraz, że jesz, pijesz, palisz, a twoja głowa jest jak gdyby o sto kilometrów dalej, przełyk pracuje a myśli szaleją, potem żołądek zaczyna trawić i ogarnia cię smutek, zniechęcenie, brak jakiegokolwiek wyraźnego celu, to, co wczoraj było ważne dziś nieważne, wczoraj cieszyło, dzisiaj mierzi i złości.

Kim jesteś? Maszynką do kopania, po której za czterdzieści lat nie zostanie nawet blade wspomnienie. Bronisz się: zostaną medale i dyplomy, migawki filmowe, wycinki prasowe, pojedyncze strony w książkach. Dobra! Tylko co z tego wynika. — Świat płynie bokiem, a ty trenujesz i kopiesz, trenujesz i kopiesz, gdzie byś nie był, w Ameryce czy Australii, oglądasz tylko szatnie i boiska, raz jest krótka radość zwycięstwa, raz długa gorycz porażki, leżysz, nie śpisz, kręci ci się we łbie przegrany mecz, widzisz wszystkie swoje błędy i nie możesz ich już naprawić. Forma przypływa i odpływa. Dziś noszą cię na rękach, jutro obrzucają błotem. Nie spodobasz się parę razy, to wystawia cię jak konia na sprzedaż, utną się twoje splendory i zarobki. Więc rób wszystko, żeby się podobać. Klubowi, prasie, publiczności. I nie szukaj innych celów w życiu niż pieniądze. Ale czym są znowu same pieniądze, skoro nie umiesz z nich nawet właściwie korzystać? To postaw dom, załóż rodzinę! Pakuj w wychowanie dzieci, żeby twój syn nie

Dalszy ciąg na str. 10

PROBLEMY

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Polak to potrafi

CZYTAJ STRONA 3

POWRACAMY DO TEMATU

BOGDA MADEJ

POŚLIZG

CZYTAJ STRONA 10

GOSPODARKA

MAREK MILLER

ODCIENIE JAKOŚCI

Dwie informacje. Obydwie mówią o tym samym zakładzie.

„Głos Robotniczy" 19 X 1976 r.:

„KTO ODPOWIADA ZA ZŁĄ JAKOŚĆ".

„Jak wynika z kontroli jakości wyrobów ZPO „Zeta" w Zgierzu dostarczonych w III kwartale br. do 14 Wojewódzkich Przedsiębiorstw Handlu Wewnętrznego, niektóre przekazane handlowi partie ubrań posiadały wiele wad i braków a więc stanowiły jakościowo towar gorszy od deklarowanego.

Ogółem zareklamowano 7.407 sztuk ubrań męskich, z czego — po powtórnej selekcji przeklasyfikowano do niższych gatunków 1.047 sztuk..."

Spółdzielczy Dom Handlowy „CENTRAL".

...gro nabywców kupuje ubranie jednorzędowe zapinane na dwa guziki z rozcięciem z tyłu. Reasumując należy stwierdzić, że ubrania produkowane przez „Zetę" cieszą się dużym popytem, ponieważ odpowiadają gustom i wymogom klientów nie tylko z uwagi na ładne fasony, ale także na dobrą jakość...

Podpis: Zastępca naczelnego dyrektora, oddział do spraw Admin.-Techn. JULITE LANZENDOERFER

ROZMOWA Z DYREKTOREM

Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Zeta" w Zgierzu. Gabinet zastępcy dyrektora do spraw produkcji – mgr inż. WALDEMARA NOWACKIEGO.

— Pan do mnie?! Teraz nie mam czasu! Na dole jest giełda.

— Dzwoniłem dwa dni temu, że przyjdę, sekretarka obiecała. Nie zajmę panu dużo czasu.

— No chyba, że na chwilę, proszę wejść. Słucham pana, o co chodzi?

Dalszy ciąg na str. 5

TEATR

MAGNETYZM UŚMIECHU I MĄDROŚCI

Sztuki klasyków wystawiać jest, jak sądzę, najtrudniej. Dramaturgia współczesna, awangardowa lub też zapomniana a reanimowana daje teatrowi i inscenizatorom większe możliwości, większą swobodę. Tu przecież łatwo o nowe motywacje, poszukiwania interpretacyjne, u których źródeł leżą przemyślenia wielkich filozofów, cały bagaż literatury, porównania, aluzje, metafory. Póki biedy jeżeli na scenę wchodzi któryś ze sztandarowych dramatów polskiego kanonu lektur. Wielkie dramaty, jak to się już nie raz okazało, są tak pojemne, że dziś i zawsze znaleźć w nich można to, co jest nam bliskie i współczesne. O wiele trudniej sprawa się przedstawia z klasycznymi komediami. Tym bardziej, że te zostały skutecznie zamęczone w szkołach przez monotonne wręcz analizowanie charakterystyk postaci, humoru sytuacyjnego (na tekście!), stosunków społecznych, z hulaszczym trybem życia szlachty i ciężką dolą chłopa pańszczyźnianego, nawet jeśli ów chłop pojawia się raz i to w nieistotnej scenie.

Kończący się etap prymatu reżysera w teatrze pełen był prób uwspółcześniania klasyki poprzez różnego rodzaju chwyty inscenizacyjne. Motorowery, dżinsy, zespoły dixielandowe czy piosenki — wszystko to niekiedy ubarwiało i ożywiało klasyczny staroć a niekiedy dorabiało mu strój jarmarczny. Ten przykrywał mieliznę tekstu, odwracał uwagę od aktorstwa. Ono w klasyce także nie należy do tworzyw łatwych. Stąd właśnie znane są typy-stereotypy, postacie budowane tymi samymi środkami aktorskimi aż do znudzenia. A więc chociażby i z tego powodu wystawiać klasykę po prostu jak klasykę, to rzecz nie taka prosta. Wszystkie tego typu obawy rozwiał spektakl „Ślubów panieńskich" w reżyserii Tadeusza Byrskiego w Teatrze im. Stefana Jaracza. Rozwiał skutecznie przynosząc widzom wiele radości. Na jego sukces złożyła się przede wszystkim praca aktorów. Zespół aktorski zachowując wszystko to, co jest w tekście Fredry, dodał od siebie lekkość, wdzięk i wiele jeszcze cech poczciwych i sympatycznych. Sympatycznych, bo zdarza się przecież nieraz, że wdzięk przeradza się w minoderię, a lekkość w wysilony balast, co, rzecz jasna, nie ma miejsca w tym spektaklu.

Sprawcą wszystkich afer i nieporozumień w domu pani Dobrójskiej jest Gustaw. Jacek Zajdler — grający Gucia— tworzy postać pełną temperamentu. Owszem nie tai hulanek, ale od pierwszych scen z Anielą, czy raczej w jej obecności, sprawia wrażenie taktyka lustrującego przyszłe pole bitwy. W znanej scenie zaśnięcia przy damach, Gucio zasypia rozmarzony, trzymając dłoń Albina, jako rękę ukochanej. Ten drobny i śmieszny gest świadczy nie tylko o jego zmęczeniu, ale w pewnym stopniu o pragnieniu spokojnego życia. Oczywiście spokojnego — na miarę jego temperamentu, bo kiedy już wiadomo o zaręczynach i miłości doń Anieli Gustaw doda ze zrozumieniem wytrawnego taktyka (trochę za plecami panien), że ich śluby poszły w kąt. Koncepcja stonowania przejścia „z hulaki w męża" zależna była, jak sądzę, od potraktowania roli przez współpartnera — Krzysztofa Stroińskiego, grającego postać Albina. Jego Albin bowiem nie jest przesadnie sentymentalny. Stroiński tylko raz i to nieznacznie ociera łzę, ale fontanną łez jest tylko nazwany.

Taki Albin to znany i dziś typ grzecznego chłopca, może intelektualisty, który chciałby a nie wie jak, jaką drogą, więc daje znać po sobie prosto i szczerze. Kiedy spostrzega, że rady kolegi — Gucia — są słuszne, stara się zagrać „zmężnienie" Albina. Ba, nawet cygaro może w tym pomóc. Przy czym Stroiński z owego palenia cygara robi dowcipną etiudę aktorską. Albin, siedząc przy szafie, to zawstydza się i wydmuchuje dym za szafę, to znów dumnie przed siebie, by zerwać się i stanąć (nie wypada siedzieć przy pannie), ale zatrzymuje się pochylony, by znów się przełamać i siąść. Za chwilę wróci się biegiem po pistolety, a będzie stał przed Radostem, przestępując z nogi na nogę, w typowym pochyleniu (grzecznie bo przed starszym), by wreszcie oba pistolety oddać Radostowi — wpierw mnie pan zabij!

W końcowej scenie zdecydowanie chwyci Klarę i poprowadzi ją w swoim, innym niż ona chciała kierunku. To może najmocniejszy akcent przemiany. Przemiany, która w stereotypowym ujęciu mogła z Albina uczynić lwa, co jest zjawiskiem tylko teoretycznie możliwym, a czego Krzysztof Stroiński uniknął. Równie zależne od siebie są postacie panien. Aniela zyskuje tyle, ile doda jej Klara. Wanda Grzeczkowska buduje postać Klary z ogromną swobodą i dynamizmem.

Sytuacja sercowa Klary jest trudna do budowania roli, jako, że Albin zdobywa ten wulkan od dwóch lat. Został ju, jak to się mówi, rozpracowany przez Klarę. Nie jest dla niej przeciwnikiem, którego ona chciałaby widzieć i... któremu ulegać. Klara chce być zdobywana nie wprost, ale fortelem. Dlatego uzbraja się w swoją taktykę. Przy czym temperament i swoboda z jaką gra Klarę — Wanda Grzeczkowska — nadają tej taktyce wiele barw i wdzięku. Z jakim to urokiem wyzwala w Gustawie pierwsze posunięcie taktyczne, jak chętnie, energicznie odpiera wszystkie ciosy i zda się potem pytać — co dalej? Oczywiście do momentu zagrożenia — pogłoski, o ukartowanym ślubie z Radostem. W scenie przypadkowych zalotów Radosta, rozumianym przez Klarę jako oświadczyny, Klara, nie tracąc nic temperamentu, ukazuje swoją bezradność. Rozpacza z urocza złością, ale nie dlatego, czy może nie tylko dlatego, że to Radost ma być mężem, ale sygnalizuje również dodatkową klęskę — bo w Albinie nie udało jej się wyzwolić przeciwnika. Bez tego przecież jej zamążpójście za Albina byłoby tylko niezbyt chwalebnym aktem rozpaczy. Przy czym sprawa jest trudna do zagrania. Gdyby bowiem chodziło tylko o przeciwnika, to rolę tę mógłby spełnić Gustaw. Dlatego też Fredro dodaje plotkę o odwróceniu się Albina w stronę Anieli. Gdyby Klarze całkowicie nie zależało na Albinie swoją taktykę skierowałaby w stronę Gustawa. Wprawdzie grozi małżeństwo z Radostem, ale zawsze jest czas na działanie w kierunku jego bratanka. Cóż... przecież chodziło o Albina. Taktyka zawiodła. Kiedy więc Albin wzywa na pojedynek Radosta, Klara ze szczerością i po prostu przyznaje się do miłości do młodzieńca.

Aniela jest przez długi okres pod wpływem Klary. Małgorzata Skoczylas odtwarzając postać Anieli sygnalizuje owo ulegnie bardzo delikatnie, a więc zda się równocześnie podpowiadać, że i ona swoje wie, tylko nie zna jeszcze drogi. Klara nauczyła jej czegoś, co nie zgadza się z jej wewnętrznym przekonaniem — taktyki. Gustaw podziałał na nią jak sądzi wprost, budując przyjaźń, wyznając miłość do innej. Nie ma w tych mężczyznach tyle zła — mówi więc Aniela i staje się sobą. Aktorka to, „co wie" Aniela w pierwszych scenach, a do czego pod wpływem Klary przyznać się nie chce, rozdwaja potem konsekwentnie. Nic, że Aniela wpada w sidła, że nieświadomie pomaga innym. U podstaw tego działania leży przecież kobieca intuicja. A ta ukazana jest z polotem i wdziękiem.

Wdzięk — to słowo pojawia się często w ocenie gry aktorów w tym spektaklu, ale tak jest w istocie. Tym bardziej, że w owych zalotach, wybiegach, fortelach, że z owych mariaży rodzi się sens współczesny dramatu, bądź co bądź starego. Refleksja nie wprost, ale ukryta za uśmiechem. Dotyczy ona wyważeń między szczerością a taktyką, sposobów przewidywania i myślenia „drugą osobą" — rozumienia jej pragnień, chęci i wad. Stary mądry Fredro nie bez powodu łączy postacie o cechach przeciwstawnych, różnych temperamentach. Warto dodać, że z iście matczynym spokojem zalotom młodych przypatruje się pani Dobrójska — Halina Koman-Dobrowolska a Włodzimierz Skoczylas zabawnie i z wielką swobodą opiekuje się jako Radost młodym Gustawem.

PIOTR SŁOWIKOWSKI

Aleksander Fredro „Śluby panieńskie". Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi, reż. Tadeusz Byrski, scenografia — Irena Burke.

PLASTYKA

HABITAT PO POLSKU

W tytule pokonkursowej wystawy w Centralnym Muzeum Włókiennictwa „Plastyka — człowiek — środowisko" jak w magicznym trójkącie, zamyka się problem kształtu siedziby współczesnego człowieka. Szybka urbanizacja kraju rosnąca liczba nowych obiektów lub choćby wymiana zabudowy drogą modernizacji czy rewaloryzacji — są wynikiem jednego z głównych kierunków społecznej polityki. Tempo nieuchronnych zmian w krajobrazie miast i osiedli wyprzedza często próby odpowiedzi na pytanie: jakie powinno być „osiedle przyszłości?"

Światowa opinia publiczna dała wyraz zainteresowaniu problemem podczas zorganizowanej w mijającym roku konferencji „Habitat — 76" w Vancouver w Kanadzie. Okazało się jednak, że wśród czołowych teoretyków i praktyków spraw mieszkalnictwa nie ma zgodności poglądów — choć wszędzie jednakowo docenia się wagę problemu. Także u nas, mimo wielu pozytywnych doświadczeń trudno byłoby o wskazanie najwłaściwszej koncepcji, tj. modelu który rozwiązuje na raz sprawy: monotonii i szarzyzny samych osiedli, zapewnia właściwe proporcje między skalą zabudowy a ilością miejsc wypoczynku, usprawnia komunikację i naprawia sieć niezbędnych usług. Mimo wszystko narzekaniom na uciążliwości „nowego budownictwa" towarzyszą coraz częściej optymizm i zaufanie dla urbanistów. Przychodzą im w sukurs nauki społeczne i nowoczesna technika. Swoje miejsce odnajduje również plastyka. Jej rola nie może już, jak przez tysiące minionych lat, ograniczać się do upiększania lub uzupełniania architektury ozdobą. W warunkach programowania architektury przy pomocy operacyjnych wskaźników i normatywów plastyk-projektant ma okazję ingerencji w pierwotną fazę określania założeń jednostek urbanistycznych; posiada prawo do egzekucji stawianych warunków i partnerskiej odpowiedzialności za ostateczny kształt. Innymi słowy — ma decydujący wpływ na humanizację architektury.

W odmiennych niż nasze warunkach ekonomicznych kształtowanie siedziby ludzkiej (pod wspólnym mianownikiem HABITAT) traktuje się niekiedy jak filozofię ekipureizmu połączonego z sentymentem do natury Jakuba Rousseau. Wszelkie formy przeciwdziałania negatywnym skutkom cywilizacyjnego i konsumpcyjnego przerostu, zwłaszcza hegemonii megalopolis — miast olbrzymów poprzecinanych drogowymi estakadami, mają tu charakter gwałtownego uzdrawiania.

Jesteśmy — mierząc relatywnie — w nieco korzystniejszej sytuacji. Dlatego właśnie w przededniu generalnych zmian przestrzennej struktury kraju trzeba, by zostały rozpisane konkretne role; aby rodzima filozofia „Habitat" była na miarę Polski jutra. Humanizacji architektury nie podołają sami architekci.

W tym sensie rozpisany przez łódzki okręg ZPAP konkurs na (cytuję): „Opracowania kompleksowe pn. „Przyroda a ingerencja człowieka", „Plastyka i informacja w przestrzeni", „Osiedla mieszkaniowe", „Opracowania jednostkowe elementów wyposażenia miast i osiedli, parków, zieleńców, placów zabaw dla dzieci, elementów wyposażenia ulic" — miał być formą konkretnej oferty plastyki wobec architektury i urbanistyki. Tak się jednak nie stało. Po pierwsze: z powodu słabego zainteresowania konkursem wśród samych plastyków. Sądzę, że jurorzy stanęli wobec niełatwego zadania, by spośród niewielkiej liczby nadesłanych prac nie odrzucić zbyt wielu. Po drugie: prócz kilkunastu świadomych, dojrzałych opracowań można było wysnuć oglądając pokonkursową wystawę niebezpieczny wniosek, że dla sporej grupy osób filozofia polskiego HABITAT równa się dziwnej odmianie infantylizmu. Owe „Recepty na wypoczynek", „Pejzaże refleksji", „Organizacje i rekonstrukcje krajobrazu" (?!) okazały się pseudokonceptualną bzdurą, smutnym dowodem niedojrzałości, lekceważenia, wreszcie... braku wyobraźni. Sięgając po porównanie: im dłużej będziemy bawić się na osiedlu gigantyczną kulą (jedna z propozycji pn. „Kula — zapis pomysłu") — tym dłużej straszyć będą rozdziawione blaszane pingwiny na śmieci. Takie są właśnie społeczne koszty niczym nie skrępowanej gry wyobraźni.

Myślę, że geneza zjawiska tkwi w niezrozumieniu roli, jaką powinna odegrać plastyka w kształtowaniu otoczenia człowieka. Jeśli ma awansować sama architektura do rangi „sztuki kształtowania przestrzeni" — to związana z nią plastyka musi zmienić się w małą architekturę, w „sztukę kształtowania architektury". Nie wiem, czy długo jeszcze uda się przemykanie mimo pozornie błahych spraw: estetycznych i nowoczesnych kiosków, osłon śmietników, daszków i wiat, kwietników, drobnych napisów, miejsc plakatowania — by już nie drażnić problemami kolorystyki osiedli czy formą placów zabaw dla dzieci. Ta wyrywkowa jedynie lista spraw do załatwienia potwierdza, że ogólnopolskie konfrontacje w rodzaju łódzkiej wystawy „Plastyka — człowiek — środowisko" są potrzebne, że mogą odegrać rolę inspirującą. Może tylko jest po prostu zbyt wcześnie na żądanie od plastyków-projektantów rozwiązań odpowiadających potrzebom.

Istnieje ponadto pewne generalnie błędne — jak sądzę — założenie, które dało się we znaki kilku propozycjom. Otóż nieprawda, że zunifikowanym zasadom budowy formy obiektów (z powtarzalnej płyty czy odlewanego masowo elementu) muszą towarzyszyć równie standardowe — dla przykładu — „Jednostki podstawowe do aranżacji otwartej przestrzeni". Łatwo wyobrazić sobie skutki stawiania prostego znaku równości pomiędzy sztuka a techniką, jakiś niebezpieczny łańcuch: podstawowa jednostka w architekturze z podstawowych jednostek na osiedlu o podstawowej... i tak dalej. Sedno polega na wyszukaniu, w miarę wcześnie, rozsadnego modus vivendi. Inaczej plastyce przypadnie rola usuwania skutków błędnego planowania urbanistycznego, a nie przyczyn — jak można to sprawdzić na przykładzie ingerencji rzeźby w smutny pejzaż gdańskiego osiedla Żabianka. Niezbędne jest także w przyszłości zorganizowanie udziału potencjalnych mecenasów zainteresowanych kupnem celnych pomysłów, zdecydowanych na realizację najciekawszych. Będzie to zarazem naturalna bariera „zdrowego rozsądku" przeciw infantylnemu konceptualizowaniu problemu o tak dużej randze.

Wydaje się, że nagrody rozdano właściwym opracowaniom i zespołom. Dla łodzian interesujący będzie projekt aranżacji Parku Kultury i Wypoczynku na Zdrowiu autorstwa Zbigniewa Władyki, Wiesława Karolaka, Macieja Zatorskiego i Haliny Jaroszewskiej (odpowiednio rzeźbiarza, grafika — wystawiennika, architekta i specjalistki od zieleni) — I nagroda w dziale opracowań kompleksowych. Projekt dotyczy kumulacji wielu uzupełniających się funkcji parku w miejscach o optymalnych ku temu warunkach. Pomijając ciekawe rozwiązanie układu „obszarów" aktywnego, biernego lub czynnego wypoczynku na planie liścia — jego walorem jest solidne rozpoznanie możliwości dojazdu i odjazdu z parku, wyzyskanie wszelkich naturalnych właściwości terenu. Dzięki temu realizacja oferty — jest to bowiem gotowa niemal oferta — możliwa będzie przy pomocy prostych środków i stosunkowo niedużych nakładów. Podobne elementy zawiera propozycja Barbary Szpicy z Warszawy. Autorka zatytułowanej poetycko pracy pn. „Zielony klub" z wielką kobiecą wrażliwością pokazuje skale możliwości operowania zapomnianym już niemal tworzywem — zielenią. Sztuka to stara jak świat, a jednak wciąż niezastąpiona, bodaj najbliższa człowiekowi.

Sądzę, że dla wszystkich zainteresowanych sprawami plastyki służącej kształtowaniu siedziby człowieka łódzka konfrontacja będzie pogladowa lekcja nieporozumień oczekujących pilnego wyjaśnienia. Czas, by Habitat po polsku stał się praktyką na skalę polskich przemian.

ANDRZEJ MAJER

INFORMACJE

POLSKI NAUKOWIEC WYRÓŻNIONY

Dorocznym zwyczajem, w rocznicę założenia Uniwersytetu Londyńskiego, sześciu wybitnych uczonych z całego świata otrzymuje doktoraty honorowe tej uczelni.

Wśród wyróżnionych tytułem doktora h. c. Uniwersytetu Londyńskiego znalazł się w tym roku wybitny polski prawnik, członek PAN — prof. Manfred Lachs, który obecnie pełni funkcję sędziego w Międzynarowym Trybunale Sprawiedliwości w Hadze.

JERZY ŻAK NAJLEPSZY GITARZYSTA

W pierwszych dniach grudnia odbył się w Łodzi III Ogólnopolski Konkurs Wykonawczy Gitary Klasycznej, zorganizowany przez Ośrodek Gitarowy LIM. Spośród 25 uczestników, którzy stanęli do I etapu eliminacji do finału zakwalifikowało się ośmiu gitarzystów.

Jury pod przewodnictwem prof. Józefa Powróźniaka sklasyfikowało finalistów następująco: dwie drugie nagrody ex aequo uzyskali Jerzy Żak z Łodzi i Lech Kuczyński z Krakowa (I nagrody nie przyznano), dwie trzecie nagrody zdobyli Jerzy Koenig z Katowic i Marek Wysocki z Łodzi, dwie grody rzeczowe — Andrzej Modrzejewski z Łodzi i Jacek Łozak z Warszawy, a dwa wyróżnienia przyznano Andrzejowi Wendlandowi z Łodzi i Bożenie Wyrwińskiej z Gdańska.

SUKCES MŁODEJ ŁODZIANKI

Solistka Teatru Wielkiego w Łodzi Łucja Wierzbińska — Jóźwiak odniosła piękny sukces na XIV Concurso Internacional de Canto w Barcelonie, zdobywając Nagrodę Specjalną Academia Chigiana.

Podczas koncertu laureatów, hiszpańska publiczność zgotowała gorącą owację młodej artystyce. Łucja Wierzbińska-Jóźwiak otrzymała również stypendium rządu włoskiego, umożliwiające jej dwumiesięczny pobyt w słynnej Akademii Muzycznej w Siebie.

KONKURS KRASOMÓWCZY PTTK

W Golubiu-Dobrzyniu w woj. toruńskim zakończył się krajowy konkurs krasomówczy przewodników PTTK i młodzieży. W rywalizacji młodzieży szkolnej zwyciężył Lucjan Zubrzycki z LO w Olsztynku. Spośród 40 przewodników PTTK, którzy prezentowali temat „Panorama pamięci narodowej" złoty laur przewodnicki otrzymała Krystyna Dąbkowska z Zakopanego, srebrny laur — Kazimierz Świderski ze Słupska, a brązowy Stanisław Maciaszczyk z Łodzi.

JULIAN KAWALEC

Znakomity pisarz Julian Kawalec z okazji sześćdziesięciolecia urodzin udekorowany został Orderem Sztandaru Pracy I klasy.

„POLSKA MUZYKA WSPÓŁCZESNA" ZA GRANICĄ

W ub. czwartek w miejscowości Abony (80 km od Budapesztu) rozpoczął się konkurs pianistyczny „Polska muzyka współczesna", który został zorganizowany przez Komitet Patriotycznego Frontu Ludowego województwa Pest oraz budapeszteńskie przedstawicielstwo „Orbisu".

W konkursie uczestniczy stu kilkudziesięciu uczniów i uczennic oraz pedagogów z 16 węgierskich szkół muzycznych. Uroczystość inauguracji uświetnił recital młodej polskiej pianistki Anny Stańczyk.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI–GLANC.

POLAK TO POTRAFI

W różnych dziennych i nocnych rodaków rozmowach mówi się czasem ze zdziwieniem: — Przecież to już przeszło 30 lat, a my... I tu zamiast kropek można wstawić konkretne pretensje pod adresem naszej rzeczywistości, która nas nie głaszcze po głowie. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że mamy trudności gospodarcze. Mamy kłopoty z rolnictwem, handlem zagranicznym, energetyką, transportem.

Jeśli spojrzy się tylko na miniony czas pod względem ilości lat, to może się wydać, że 32 to jest bardzo dużo. Ale jeśli uświadomi się sobie zawartość tych 32 lat, to przestaną one brzmieć jak argument. Jeśli uświadomi się sobie, że były to lata odbudowy i budowy wielu dziedzin naszego życia od podstaw, to wtedy i inna będzie ich ocena. Chciałbym tu zwrócić uwagę Czytelnika na pewien fragment referatu Biura Politycznego KC PZPR, wygłoszony na ostatnim posiedzeniu centralnej instancji partyjnej przez jej I sekretarza Edwarda Gierka. Brzmi ten fragment tak:

„Mimo ogromnego postępu, osiągniętego w pierwszym ćwierćwieczu Polski Ludowej, kraj nasz u progu obecnego dziesięciolecia wciąż jeszcze znajdował się na niezbyt wysokim poziomie rozwoju społeczno-gospodarczego. Zbyt wolno rosła wydajność pracy, zarówno na skutek niskiego uzbrojenia technicznego, jak też słabo rozwiniętych systemów materialnej i moralnej motywacji pracy."

W minionym trzydziestoleciu zatem nie zawsze w jednakowym tempie rozwijała się nasza gospodarka, nasze społeczeństwo. Warto o tym pamiętać, patrząc na czas dzisiejszy. Nie pomniejszając w niczym, ani nie przekreślając osiągnięć społeczno-gospodarczych minionego trzydziestolecia, trzeba również pamiętać, że dopiero z początkiem lat 70-tych weszliśmy w okres szybkiego rozwoju naszej gospodarki i naszego życia społecznego. Ale weszliśmy w ten okres z całym balastem obciążeń czasu poprzedniego.

Posłużmy się może kilkoma liczbami. Otóż jeśli przyjrzeć się wzrostom produkcji surowców energetycznych przypadającej na jednego mieszkańca Polski, to w latach 1960—1970 ich produkcja zwiększyła się o 1.222 kg a w latach 1970—1975 o 815 kg. Zatem w ostatnim pięcioleciu była o 407 kg tylko mniejsza niż w całym poprzednim dziesięcioleciu. Podobnie wygląda rozwój energetyki. W latach 1960—1970 produkcja energii elektrycznej na jednego mieszkańca Polski wzrosła o 997 kWh, a w latach 1970—1975 o 873 kWh. Znów więc wzrost produkcji energii elektrycznej w ostatnim pięcioleciu był tylko o 124 kWh mniejszy niż w całym poprzednim dziesięcioleciu. I jeszcze dwie liczby: w latach 1960—1970 produkcja stali surowej wzrosła o 111 kg na jednego mieszkańca, a w latach 1970—1975 o 78 kg. Dzięki Hucie „Katowice" wzrost ten w bieżącym dziesięcioleciu będzie znacznie wyższy.

Już tylko z tych danych wynika, że minionego trzydziestolecia nie można traktować w sposób jednolity, że były w tym czasie różne okresy, w których nasza gospodarka i nasze społeczeństwo rozwijało się w różny sposób. Nie zawsze harmonijny. Ten fakt nie pozostaje bez wpływu na naszą współczesność. Rodzi określone sprzeczności i uwarunkowania.

Niezbyt wysokie tempo rozwoju społeczno-gospodarczego w poprzednich latach wynikało między innymi z dwu powodów: z niedostatecznego uzbrojenia technicznego naszej gospodarki oraz z braku odpowiednich moralnych i materialnych motywacji niezbędnych dla wzrostu wydajności pracy. Tu chciałbym znów odwołać się do materiałów V Plenum KC PZPR, do referatu Biura Politycznego. Czytamy tam:

„Trzeba więc było odważnie wejść na drogę znacznie wyższego opłacania wzrostu wydajności pracy, a przez pewien czas i w niektórych dziedzinach gospodarki nawet jego nadpłacania. Bez tego nie wzmoglibyśmy rytmu pracy, nie ożywilibyśmy działalności gospodarczej. Przyjęliśmy zatem dynamiczną politykę płac, choć zdawaliśmy sobie sprawę z trudności takiej polityki, a zwłaszcza z tego, iż spowoduje ona szybki wzrost popytu na rynku. Liczyliśmy, że wzrost dochodów stymulować będzie lepszą, bardziej wydajną pracę i przyczyni się do poprawy efektywności gospodarowania."

Taka polityka przyniosła spodziewane rezultaty. Przyjęta na VI i potwierdzona na VII Zjeździe partii strategia rozwoju społeczno-gospodarczego znalazła też potwierdzenie w rzeczywistości, w naszych dokonaniach. I występujące trudności nie mogą tego przesłonić, ani pomniejszyć. Znalazło to swoje potwierdzenie w materiałach V Plenum KC PZPR, które jednocześnie ukazało źródła występujących obecnie trudności, kreśląc program ich przezwyciężania.

Byłoby jednak zbyt wielkim uproszczeniem, gdyby analizując materiały V Plenum KC PZPR, przyczyny występujących trudności odnosić tylko do sfery gospodarczej. Trzeba ich szukać również w naszej mentalności, w naszym sposobie myślenia, który przecież warunkuje nasze działanie.

W minionym pięcioleciu ogromne środki skierowano na unowocześnienie i rozbudowę wielu gałęzi przemysłu. Rezultaty tego obserwujemy również i w Łodzi, gdzie wiele fabryk przenosząc się ze starych budynków do nowych, przechodzi jednocześnie na zupełnie nowe sposoby wytwarzania. Ale te ogromne środki finansowe, skierowane na unowocześnienie gospodarki, nie zawsze jeszcze przynoszą spodziewane rezultaty. Z różnych powodów zresztą.

Coś podobnego dzieje się też w naszej świadomości. Od dawna wiadomo, że dużo łatwiej jest wybudować nową fabrykę niż zmienić ludzkie przyzwyczajenia. Proces przebudowy sposobu myślenia Polaków został dopiero zapoczątkowany. Rozbudziły się nasze ambicje, ale nie towarzyszy temu należycie pojęta dyscyplina, konsekwencja w działaniu, umiejętność patrzenia szerzej niż w perspektywę własnego podwórka. Partykularyzm jest jeszcze zbyt często motorem działania wielu ludzi i zespołów, wielu środowisk. Hasło: „POLAK TO POTRAFI" często jeszcze odnosimy do skutków niż do przyczyn, rozumując, że kto inny potrafi to zrobić, co ja powinienem już mieć.

Przemawiając w Sejmie PRL 2 grudnia 1976 roku premier Piotr Jaroszewicz powiedział między innymi:

„Nie wszyscy działacze gospodarczy rozumieją, że w wielu wypadkach jakość może być substytutem ilości; mniejsza ilość naprawdę dobrych produktów daje większe poczucie obfitości niż duża ilość produktów o niskiej jakości; pozwala na lepsze dostosowanie produkcji do oczekiwań odbiorców, zapewnia dłuższe użytkowanie wyrobów."

A jakość produkcji od dawna jest naszym utrapieniem. Rodzi w społecznej świadomości pewne napięcia. Zła jakość towarów spotykanych na rynku kształtuje przekonanie, że producent otrzymuje nowoczesne środki wytwarzania, ale nie potrafi się nimi posługiwać. Co więcej, czasami zdarza się i tak, że sam producent jest przekonany o swojej dobrej pracy i dziwi się, kiedy ta praca spotyka się ze społeczną krytyką. Czasami też uważa tę krytykę za krzywdzącą, niesprawiedliwą.

Problem dobrej jakości nie jest tylko naszym problemem. Nie przypadkiem metody samokontroli, „metoda saratowska" czy „lwowska", metoda „Zero Defects" zrodziły się w ZSRR i USA, a także w Japonii stosuje się w praktyce podobne metody. W naszych warunkach wszakże problem jakości ma nieco inne znaczenie i wiele różnorodnych i skomplikowanych przyczyn. Przede wszystkim przez bardzo długi czas od producenta wymagano ilości, na jakość patrząc raczej łagodnie. Łagodniej na tę sprawę patrzył też klient. Ale dziś wzrosły społeczne wymagania. Klient chce mieć na rynku już nie tylko dużo towarów, ale przede wszystkim towary dobre. Chce mieć też towary na różnym poziomie: standardowe, lepsze jakościowo od standardu i luksusowe. I takie towary przemysł będzie klientowi dostarczać.

Mnie jednakże interesują nie tyle przyczyny, co skutki niskiej jakości niektórych wyrobów przemysłowych. I to nie tyle skutki materialne, co społeczne. A do tych zaliczyłbym też stosunek do złej jakości ze strony producenta. Zdarza się bowiem i tak, że krytykowany producent przyjmuje przede wszystkim pozycję obronną, a następnie szuka winnych wśród kooperantów. Istotnie, jak wynika z danych GUS w 1975 roku wartość elementów, które nie znalazły się w produkcie finalnym wyniosła 37 miliardów złotych. Dla przeciętnego „zjadacza chleba" jest to suma ogromna, a co ważniejsze jest to suma, w której widzi też część swoich pieniędzy, które zostały zmarnowane. Ale widzi je wtedy, kiedy patrzy na problem jakości jako klient. Kiedy jednak patrzy na ten sam problem jako współwytwórca nie zastanawia się nad tym, jaka część zmarnowanych pieniędzy jest wynikiem jego złej pracy.

W bieżącym kwartale, czyli w IV kwartale 1976 roku — jak to wynika z materiałów V Plenum KC PZPR — na rynku znajdzie się dodatkowo towarów przemysłu spożywczego, maszynowego, lekkiego i chemicznego wartości 10 miliardów złotych. O ileż można byłoby dać więcej dodatkowej produkcji, gdyby już w trakcie jej wytwarzania nie powstawały braki? Współczesny Polak zaczyna coraz częściej myśleć kategoriami społecznymi, rozumiejąc, że jego praca jest cząstką społecznego działania. Martwią go straty wyrażane sumami globalnymi, nie martwi go jednak wcale strata wynikająca z jego złej pracy. Nie zawsze potrafi bowiem, to, co robi źle, widzieć w skali społecznych skutków.

„Kierując się uzasadnioną i zrozumiałą dbałością o umacnianie wiary we własne siły — mówił na V Plenum KC PZPR Edward Gierek — nasza propaganda skupiała uwagę na niewątpliwych, realnych niepodważalnych osiągnięciach i sukcesach naszego narodu. Było to i jest słuszne. Sukcesy i osiągnięcia trzeba propagować, aby upowszechniać wartościowe doświadczenia i dawać satysfakcję ludziom dobrej roboty. Równocześnie musimy głębiej oświetlać złożone problemy, ostrzej ukazywać niedostatki, mobilizować siły moralne do ich przezwyciężania. Trzeba też stale rozszerzać zakres informacji, zapewniać jej wszechstronność. Są to nieodzowne warunki wytwarzania w społeczeństwie gospodarskiego poczucia odpowiedzialności za wspólną sprawę rozwoju Polski."

Łatwo i spokojnie żyje się w warunkach, kiedy „wszystko gra", układa się pomyślnie. Znacznie trudniej, kiedy „coś nie wychodzi", kiedy rezultaty naszej pracy nie są takie jakich się spodziewaliśmy. Kiedy wszystko idzie pomyślnie, wtedy MY mamy sukcesy. Kiedy rodzą się trudności i kłopoty, wtedy ONI są winni. To bardzo łatwe i wygodne rozumowanie. Odpowiedzialność za niepowodzenia i trudności spada na NICH, a MY czujemy się rozgrzeszeni. Czy rzeczywiście?

Na V Plenum KC PZPR sprecyzowano program dalszego postępowania w realizacji strategii gospodarczej przyjętej na VI Zjeździe partii. Program ten wart jest szczegółowej analizy, wyciągnięcia z przemyśleń konkretnych wniosków nie tylko do działania poszczególnych załóg przedsiębiorstw i fabryk, nie tylko różnych środowisk, ale każdego z nas. MY ten program będziemy bowiem realizowali i od tego JAK to zrobimy, zależeć będą rezultaty. Hasło: „POLAK TO POTRAFI" pozostając nadal aktualnym, nabiera jednak w świetle uchwały V Plenum KC PZPR nowego znaczenia. POLAK POTRAFI nie tylko cieszyć się sukcesami, ale ZROZUMIEĆ przyczyny powstałych trudności i PRZEZWYCIĘŻYĆ je.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

STEFAN STARZYŃSKI –Prezydent Warszawy

Mimo, że książka ta ukazuje się dziś po raz pierwszy, ma już swoją historię. Pierwszy zarys monografii Stefana Starzyńskiego opracował autor w latach 1962—1963. Rzecz nie ukazała się wówczas drukiem: problematyka zdawała się zbyt świeża, dyskusje zbyt zaognione, aby można było kusić się o obiektywizację spojrzenia na postać Prezydenta stolicy Polski z tragicznych dni Września. Referat o S. Starzyńskim, przedstawiony jesienią 1962 r. na posiedzeniu Towarzystwa Miłośników Historii w Warszawie, spotkał się — jak wspomina dziś autor — **„z licznymi uwagami, sygnalizującymi uleganie z jednej strony tendencjom hagiograficznym, z drugiej — stereotypom lansowanym w latach pięćdziesiątych".** W rezultacie praca spoczęła w archwium — dosłownie i w przenośni — bowiem została złożona w Archiwum Miasta Stołecznego Warszawy, gdzie mogli do niej dotrzeć zainteresowani historycy.

Tymczasem M. M. Drozdowski zaktywizował swoje badania nad dziejami stolicy: publikował artykuły i książki, działał na polu naukowym i popularyzatorskim, organizował zespołowe prace historyczne. O S. Starzyńskim nie zapominał, tak jak nie zapominali o nim nasi historycy i publicyści. Rozwój badań historycznych dorzucił sporo nowych informacji również dotyczących postaci Prezydenta. W 1971 r. M. M. Drozdowski ogłosił na łamach popularnego periodyku historycznego szkic do portretu S. Starzyńskiego, zatytułowany: „Kontrowersyjny bohater". W tymże roku współdziałał przy opracowaniu filmu telewizyjnego o S. Starzyńskim, wyświetlanego w rocznicowy dzień 30 września 1971 r.

Książka Mariana Marka Drozdowskiego, opatrzona tytułem: **„Stefan Starzyński Prezydent Warszawy"**, opublikowana świeżo (1976) przez Państwowy Instytut Wydawniczy w ramach ukazującej się pod auspicjami Towarzystwa Miłośników Historii „Biblioteki Wiedzy o Warszawie", subsydiowanej przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy, nie jest identyczna z zarysem, opracowanym przez jej autora w latach sześćdziesiątych. **„Nowy klimat społeczno-polityczny powstały w kraju po tragicznych wydarzeniach grudniowych 1970 roku oraz imponujący rozwój varsavianistyki w ostatnim dziesięcioleciu** — podkreśla na wstępie swej książki M. M. Drozdowski — **pozwalają na próbę nowego spojrzenia na działalność Stefana Starzyńskiego jako prezydenta Warszawy".** W założeniu autorskim winno to być spojrzenie obiektywne, **„wolne od uproszczeń, od hagiograficznej idealizacji i doktrynerskiej wulgaryzacji"**, o jakie łatwo wówczas, kiedy pisze się o postaci człowieka, który żywo zaznaczył się w pamięci współczesnych, wokół którego z upływem lat urosła prawdziwa legenda.

Był przecież S. Starzyński przedstawicielem politycznego obozu, który w świadomości narodu poniósł ostateczną klęskę we wrześniu 1939 r., był jego aktywnym działaczem. I nie dlatego o nim pamiętamy, przypominamy go co roku, kiedy nadchodzi rocznica wybuchu II Wojny Światowej, uczymy o nim w szkołach naszą młodzież. M. M. Drozdowski na pierwszej stronie swej książki pisze: **„O przejściu Starzyńskiego do historii i tradycji narodowej zadecydowała jego bohaterska postawa we wrześniu i październiku 1939 r. Jego więź z ludem Warszawy, jego odwaga działania zgodnie z nakazem serca, a nie ewakuacyjnymi poleceniami premiera i komisarza rządu, którzy opuścili walczącą Warszawę".** Jest w tej postaci coś z symbolu: stawianie barykad na ulicach stolicy i szosa zaleszczycka, toż to dwie strony tego samego dziejowego dramatu, w którym S. Starzyński znalazł się — z własnego wyboru — nie tam, gdzie większość jego politycznych kolegów, ale tam, gdzie stanęła większość Polaków. Wiemy aż zbyt dobrze, ile znaczyło to wówczas — i później...

Historyk nie kreuje swego bohatera na opatrznościowego męża stolicy i kraju w czasach międzywojennych: nie kryje, że posiadał on **„wiele zalet i niemało wad"**, zarówno jako człowiek, jak i działacz polityczny, państwowy, gospodarczy, że ambicja i zaangażowanie polityczne kierowały go coraz wyraźniej na prawo, co **„umożliwiło mu pozostanie w elicie rządzącej i pchało go do udziału w pracach organizacyjnych Obozu Zjednoczenia Narodowego". „Jego zastrzeżenia** — pisze o swym bohaterze M. M. Drozdowski — **dalekie były od postulatów lewicy, które implikowały zmianę autorytatywnego systemu w odniesieniu do polityki rządu, w tym likwidację komisarycznego zarządu miasta"**, Wszak S. Starzyński był w latach 1934—1937 komisarycznym prezydentem stolicy. Tak, wszystko to, i wiele jeszcze innych spraw, to jedna strona medalu — najmniej znana, nieczęsto oglądana, o której historyk nie może zapomnieć. I pewnie nie byłoby potrzeby pisania książek i artykułów, gdyby ta jedna strona była jedyna, z jakiej można — i należy — spojrzeć na postać S. Starzyńskiego. **„Wrzesień 1939 r.** — powiada M. M. Drozdowski na zakończenie swej książki o S. Starzyńskim — **był egzaminem dla jego patriotyzmu. Poczucie honoru, trzeźwa analiza rzeczywistości zmuszały go do decyzji samodzielnych, sprzecznych z nakazami ewakuacyjnymi zwierzchników. Wyciągnięcie ręki do wszystkich legalnych ugrupowań politycznych oraz powołanie Komitetu Obywatelskiego było aktem samokrytyki, jakżeż sprzecznym z duchem poczynań Obozu Zjednoczenia Narodowego".**

Lektura pięknej książki M. M. Drozdowskiego skłania do zastanowienia się raz jeszcze nad jakże splątanymi dziejami Polaków w tamtych, trudnych czasach. Ukazuje nam, że im więcej o nich wiemy, tym dokładniej dostrzegamy wszystkie, nieraz bardzo dotkliwe luki naszej historycznej wiedzy. M. M. Drozdowski dostarcza nam pod tym względem szczególnie jaskrawego przykładu: oto pomimo, że znamy najróżniejsze wersje o śmierci S. Starzyńskiego, historyk nie może w tej sprawie powiedzieć swego ostatniego słowa. Po prostu nie wie, gdzie i jak zginął bohaterski Prezydent stolicy Polski. Nawołuje więc do możliwie wnikliwego zbadania dokumentacji obozów i więzień w Spandau, Moabicie, Dachau, Sachsenhausen i Flossenburgu, zwraca się do byłych więźniów i ich rodzin z apelem o przekazanie posiadanych przez nich — być może — wiadomości o S. Starzyńskim.

ANDRZEJ F. GRABSKI

ANNA POGONOWSKA

ZAPISKI

cynobrowe winnice cynobrowe wino
Dionizos dziś górami przeszedł nad Marsylią
a teraz na motorze rwie w kurzu czerwonym
perwersyjny współczesny bóg filmowy łotr

(Marsylia)

☆ ★ ☆

dziesiątki setki tysiące mieszkańców Sewilli
nosi wielkie podesty — pasje ze świętymi figurami
umęczonej matki umęczonego syna
głowa słodko boli od dywanów kwiatowych
wśród których umiera Bóg
i przygwożdżona do życia
lśni w łzach Macarena
Sewilczycy są bardzo weseli
gryzą parówki z musztardą
brzęczą im pesetami języki całego świata
ubijającego z rzeczy i nazw
pienisty chaos mass — kultury

(Sewilla)

☆ ★ ☆

wśród lasu boru meczetu Kordoby
jak błądzono?
pod pianami — perłami kopuł twierdzy Grenady
jak śniono?
zniknęła cywilizacja arabskiej Andaluzji
wśród gór Afryki ścierpły zdziczały jej owoce

(Kordoba)

☆ ★ ☆

ognistymi górami ognistym niebem
droga pysznie zbudowana nasze auto wiedzie
oto noc i biżuteria gwiazd bezcenna rozłożona
meteoryt jak targnięta ciężka perła

gruchnął kamień wymierzony
w nasz lśniący pojazd
przez pasterza stada owiec?
diabła? anioła?

(Maroko)

HANNA KACEWICZ

POSZUKUJĄCEJ DOBREGO SNU

1
nie oglądaj się za siebie nikt nie przyjdzie
nie odwróci od ciebie nocy przyprószeniem słowa
bo obliczone
na dopełnienie w ciemnym krajobrazie
na samotność tak pełną
w niedomkniętych oczach

2
przyjdź ktokolwiek
niech uczyni światło
powiedz że jest światło
wróć mi niepamięć nad brzegami ciszy
bo

3
tyle niepokojów w jednym niepokoju
więc opowiedz mnie światłem
odgarnij lęk z czoła
niech słowa słowom nie pozwolą odejść

4
nie trzeba tłumaczyć spójrz
mam ręce pobladłe od strachu
i miejsce w sobie puste
weź tylko mi z oczu chłód niepokoju
to tyle samo co ocalić w nich światło

5
nie porzucaj mnie w deszczu włosów
a jeśli
to przygotuj moją ufność w sen
w którym długo jeszcze nie uniosę głowy
aż wyszeptana zostanę przez świt

listopad 1976

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

KASKADER

— Dokąd jedziemy? — spytał Ignac, kiedy znaleźli się już na szosie.

— Dziś lepszy interes — odpowiedział Wacek, który prowadził wóz. Motor szedł nierówno, zarywał. — Trzeba zmienić karetę

— Jak to zmienić? Ta już nie dobra? Chcesz kupić nowe auto? — spytał Ignac. — Nie żal ci twojej „Syrenki"? Mocna cholera. Mało się nią najeździłeś? Forsy też ci nielicho przyniosła.

— Yhm — mruknął w odpowiedzi Wacek. — Ale już czas ją zepchnąć. Nie słyszysz jak chodzi motor. Jak dychawiczny koń. Rozlatuje się grat.

— No boś nieźle ją powytrząsał na tych polnych drogach. Ty, Wacek... A dziś to my znowu na weselisko?

Tamten nie odpowiedział. Wacek w ogóle lubił być tajemniczy Zabierał Ignaca na wsie, ale nigdy nie mówił dokąd pojadą. Odpalał mu jedną trzecią zarobku. W razie awarii zawsze się ktoś drugi przyda.

— Żenię się — rzekł niespodziewanie Wacek.

— Ty?! — zawołał zdumiony Ignac. — Ty?

— A niby dlaczego mam się nie żenić? Co? Ty masz już kilkuletniego chłopaka, a ja?...

— Przecież jesteś młodszy, to masz czas. To my dziś do niej do tej twojej?...

— Nie... — roześmiał się Wacek. — Dziś jeszcze nie do niej... Dziś... tylko... Posłuchaj jak ta cholerna landara chodzi.

— To niby twoja „Syrenka".

— No, jasne, że nie narzeczona. Trzeba żebym miał nowy wóz. Moja dziewczyna nie wsiądzie do tej klekoty.

— Ty... A jaka ona jest?

— Osiemnastka — powiedział z dumą Wacek i zaraz dodał: — Ładna. Ma gospodarkę, o znaczy ona na wsi nie siedzi. Miastowa już. Ale na wsi rodzina... Ech, bracie żebyś ją widział! Jakie nóżki, buzia, cycuszki... Co ci zresztą będę gadał. Pokażę ci ją kiedyś. Sam zobaczysz. Panienka inteligentna. Z maturą.

— Bujasz! — powiedział urażony przechwałkami Ignac. — I ona na ciebie poleci? Nawet nie jestem pewny czy podstawówkę skończyłeś, a chcesz panny z maturą?

— Głupiś! Przecież na budowie nieźle zarabiam, samochód mam i jeszcze, jak wiesz, dorobię, a o poezji czy tam jakichś innych mądrościach nie musimy gadać Grunt to forsa, mieszkanie, auto.

— I jakie tam auto... sam przecież mówisz...

— E, co z tobą gadać. Od tego ma się tu — pokazał na swoje czoło. — Olej mam w głowie nie siano... A ty, uważaj, jak ci się nie podoba, to fora. Zawsze znajdę chętnych na wyjazdy.

Ignac pracował w remizie autobusowej. Trochę się znał na motorach, więc jak im się auto popsuło na drodze, to razem z Wackiem umieli uszkodzenie naprawić Lubił te wyjazdy na wesela. Bo i forsę dodatkową zarobił i podjeść, a jeszcze lepiej popić można było sobie solidnie Za to Wacek nigdy nie pił na przyjęciach weselnych, choćby go nie wiem jak proszono.

— Kierowca musi być trzeźwy — mówił twardo. — Ani kieliszka...

Nie lubił też kiedy Ignac się upijał. — Owszem, trochę możesz sobie golnąć, ale nie za dużo — przestrzegał.

— Nie gniewaj się, Wacuś — rzekł pojednawczo Ignac. — Ja tylko tak...

— Więc teraz uważaj. Albo rybka, albo pipka. Masz mnie słuchać jeżeli chcesz żebym ci lepszą forsę za dzisiejsze odpalił. Jak się dobrze sprawisz to dwa tysiączki od ręki zarobisz.

— Oj, przydałoby się.

— Przydałoby się. Przydało — powtórzył ironicznie kolega. — Na wódkę! Ech, ty gębo zapijaczona. Urządzisz zaraz ochlaj Ale dziś to ja sam dam ci forsę na wódkę. I to zaraz.

— Jak to? — spytał zdumiony Ignac. — Ty przecież nie lubisz jak pije.

— A nie lubię. Kierowca nie pije to i jego pomocnik nie powinien. Ale dzisiaj to co innego.

— Nie rozumiem. Nic z tego nie rozumiem.

— Zrozumiesz. Pokażę ci faceta Zagadasz do niego w knajpie tak wiesz, od duszy, od serca, troskliwie, jak do własnego syna... „pan szanowny zmęczony długa jazdą"...

— To ty myślisz, że ja do syna mówię „pan"?

— Et, gadaj tu z głupim. Do tego faceta, nie do syna. Więc uważasz powiesz do niego, że jest zmęczony i jeden kieliszeczek wódki mu nie zaszkodzi. Kapujesz? On ci powie, że nie pije bo prowadzi wóz. A ty mu na to: „Co to szkodzi? Jeden kieliszeczek to można. Ja też prowadzę samochód..."

— Przecie ja nie prowadzę wozu.

— Ale powiedzieć możesz... Przecież możesz powiedzieć. I zamówisz dwa kieliszki jeden dla tego faceta drugi dla siebie. A potem... potem jeszcze jedną kolejkę, albo on postawi tobie, albo ty jemu. Masz tak zabajtlować żebyście wypili po dwa, trzy najwyżej cztery kieliszki. Może nie być wódka.

— A co?

— Nawet koniak. Tylko wypić nie za dużo. Zrozumiano? Bo się facet zwali na podłogę i koniec z interesem. Kapujesz?

— Nie.

— Nie musisz — stwierdził stanowczo Wacek. — Masz tylko zrobić jak ci każę.

Nagle Ignac zrozumiał. Zbladł. — Ty, Wacek, ty tego nie zrobisz. A ja, ja nie chcę.

Wacek nie zareagował na jego sprzeciw.

— Zrobię. Mam pewną rękę Przejechałem sto tysięcy kilometrów. Znam siebie i swój wóz Kapujesz?

Zatrzymał auto na poboczu Wyszli obydwaj. Zapalili papierosy W tym miejscu droga opadała ku dolince. Jak na dłoni widać było gospodę o jasno bielonych murach. Przed nią stało kilka aut. Wacek wolniutko okrążał swój samochód jakby dokładnie sprawdzał karoserię i ogumienie. W rzeczywistości bacznie obserwował każdy pojazd mijający ich i zjeżdżający w dół.

— Zatrzyma się, nie zatrzyma się — powtarzał ilekroć auto zbliżało się do gospody. Im dłużej tu stali rosło napięcie w oczach Wacka. — Cholerny toto-lotek Ignac przysiadł na skraju rowu Chciał coś powiedzieć, protestować, ale bał się w tej chwili Wacka Licho wie co mu przyjdzie jeszcze do głowy. Minęła ich „Dacia", nowiuteńka, śliczna — Zatrzyma się... nie zatrzyma się... — powtarzał jak w transie Wacek. Ignac zauważył, że ma dziwne, jak u szaleńca oczy. — Zatrzymała się! — krzyknął triumfalnie Wacek. — Cholera, szkoda takiego wozu... Szybko! — niemal ryknął do Ignaca. Tamten wstał niechętnie. — Właź! — krzyknął rozkazująco. Wepchnął kolegę do środka wozu i siadł za kierownicą Natychmiast ruszyli i w kilka chwil później byli już przed gospodą.

— Załatwisz gościa jak mówiłem. Masz tu pięćsetkę. No już! Na co czekasz? — w jego oczach pojawiły się złe błyski i Ignac jak zahipnotyzowany znalazł się na progu gospody.

— No, wreszcie — powiedział sam do siebie Wacek, gdy Ignac wolniutko znikał we wnętrzu budynku.

Wacek rozsiadł się wygodnie. Zgasił motor. I wtedy poczuł nagle ssanie w żołądku. „Strach" — pomyślał i zauważył, że mu ręce drżą. Popiół z papierosa osypał się na kurtkę. „Spokój" — nakazał sam sobie. Postanowił za wszelką cenę opanować się. Starannie otrzepał dłonią ubranie Przypomniał sobie jak wyprowadził kiedyś wóz z niebezpiecznego poślizgu na pokrytej zmarzniętą szosie. Teraz też musi mu się wszystko udać. Żal, że trzeba to zrobić z taką śliczną „Dacią". Lubił przecież samochody... No, trudno akurat „Dacia" mu się nawinęła... Spojrzał na zegarek. Niecałe dziesięć minut Ignac był w gospodzie, a wydawałoby się, że siedzi tam już z godzinę. Wreszcie uspokoił się. Starał się nie myśleć o tym co nastąpi. Wreszcie drzwi od gospody otworzyły się. Wacek ujrzał najpierw tamtego, od „Daci". Dopiero teraz zauważył, że facet ma brodę. Brodacz schodził ze stopni budynku równo, nawet na moment nie zachwiał się. Za nim szedł Ignac. Teraz Wacek widzi jak jego koleżka odprowadza brodacza aż do wozu. Całują się. Są na bańce. Obydwaj. Facet od „Daci" mówi coś do Ignaca, zaprasza go zdaje się do auta, ale tamten energicznie odmawia. Wreszcie brodacz wsiadł. Zapala motor. To samo robi teraz Wacek. Wszelkie zdenerwowanie już minęło. Ruchy ma pewne i sprawne. Ruszyli. Wacek zna ten odcinek drogi na pamięć. O trzysta metrów od gospody jest zakręt w prawo. To już przedtem sobie obmyślił, że... Droga wyasfaltowana, gładka Nie będzie potem widać zbyt dokładnie śladów kół. Zresztą tyle aut tu przejeżdża, zatrą ślady nim milicja nadjedzie.

„Dacia" nabiera gazu. Wacek jedzie za nią. A jednak brodacz jest pijany. Nie utrzymuje prostej linii, jedzie troszeczkę zygzakowato. Ignac sprawił się dobrze Dostanie może nawet ze trzy tysiące, nie, dwa i pół wystarczy postanawia Wacek. Zbliżają się do zakrętu. Teraz!!! Wacek naciska pedał gazu. Zapala migacz brodacz nie wiadomo czemu zwiększa szybkość. Wacek dociska gaz do deski. Wyprzedza. I teraz jeden, jedyny, ale precyzyjny ruch kierownicą. Słychać trzask i zgrzyt rozdzieranej blachy. Wacek traci kontrolę nad kierownicą, wóz wpada w poślizg. Siła odrzutu znosi go z szosy i wali w rów.

* * *

— Koniaku! Panienko! — woła Wacek. — Tym razem i ja sobie popiję — zwraca się do Ignaca który patrzy na przyjaciela błędnym, pijackim spojrzeniem. — No, co, nieźle? — nalewa kieliszek stojący przed Ignacem.

— Nie chcę — mówi tamten. — Mam już dość.

— Głupiś! Pij, jak ci stawiają! Wszystko w porządku. Elegancko się sprawiłeś. Dam ci dwa tysiące. Teraz nie mam przy sobie, ale jak wrócimy...

Ignac nie odpowiada. Kelnerka przynosi butelkę koniaku. Przez moment przygląda się Wackowi potem przenosi wzrok na Ignaca

— Czemu ślicznotko patrzysz na nas tymi cudnymi oczętami? — pyta Wacek. — Napijesz się z nami malutka? — Jest pewny, że kelnerka odmówi, bo tak jakoś dziwnie na nich patrzy, ale ku jego zdziwieniu, blondaska rozejrzawszy się po niemal pustej sali, przysiada przy stoliku. Ignac odsuwa kieliszek, więc dziewczyna przysuwa ku sobie i nalewa koniak dla siebie i Wacka

— Wypijemy — mówi kelnerka. Podnoszą do ust kieliszki.

— Fajna z ciebie babka... — Gdybym nie miał narzeczonej ożeniłbym się z tobą. — Śmieje się z tego co powiedział, jak z dobrego kawału. Dziewczyna milczy. Przygląda się Wackowi przez dłuższą chwilę potem znowu rozlewa koniak do kieliszków.

— Widziałaś?

— Pobiegłam tam, jak tylko ludzie zaczęli wrzeszczeć. Najpierw wpadł tu do gospody jakiś chłopak. Przyjechał na motocyklu Krzyczał, że na drodze, na zakręcie wypadek. Telefonował po milicję i pogotowie.

— Nie na zakręcie, a przed zakrętem — prostuje Wacek. — Urżnie się takie bydlę i drogę porządnemu człowiekowi zajeżdża Szczęście, że mu tylko siniak na łeb wyskoczył. No, i że mnie się nic nie stało. Trochę w ramię stuknęło. To wszystko.

— Ale samochody zniszczone — mówi dziewczyna. — Ten twój, to stary grat Ale tamten... Klasa samochód Nie wiem czy da się go jeszcze jakoś naprawić. Kto to zapłaci? PZU?

— Panienko... śmieje się Wacek — jak ten facet, brodacz zasiadł za kierownicą pijany to on za to wszystko zapłaci. Będzie musiał Forsę na nowy wóz to już jakbym miał w kieszeni. No, panienko, wypijemy pod ten nowy wóz, co go kupię. Może tam trochę trzeba będzie dołożyć, ale będzie nowy i nie tam żadna „Syrenka", ale jakiś lepszy.

— Jaki? — pyta dziewczyna.

— Nie wiem. Może się coś wykombinuje.

— Wykombinuje... — powtarza dziewczyna. — Ty umiesz kombinować. Nie?

— Muszę wyjść — odzywa się nagle Ignac.

— Idź w czorty! — żegna go Wacek. — Jak ci przejdzie to wracaj. Do nocy nie będziemy tu siedzieć.

— Dobrze, że ci się nic nie stało — mówi kelnerka.

— I... ma się tę technikę... Nie z takich rzeczy wychodziłem. Raz, pamiętam ślizgawica jak cholera...

— Dzielny chłopak z ciebie — przerywa mu dziewczyna. — Podobają mi się tacy dzielni jak ty. Mocni. Tacy nie giną.

— Mówisz, że ci się podobam Jestem przystojny. No, nie, panienko?

— Sprytny też. Nie, nie nalewaj! Ja mam już dość Ech, ty durniu... Przystojny!? Amantem w filmie to ty na pewno nie mógłbyś być.

— A niby czym?

— Kaskaderem.

Wacek grzebie w portfelu, wyciąga zdjęcie.

— Przypatrz się... Ładna, co? To moja narzeczona.

Kelnerka przygląda się zdjęciu Patrzą na nią trochę wyłupiaste, a i nieco naiwne oczy Dziewczyna ma okrągłą buzię, duże usta, ostrzej zarysowany podbródek.

Kelnerka odsuwa fotografię.

— Schowaj to. Nie chcę na nią patrzeć.

— Co, może nie podoba ci się moja narzeczona? — pyta zaczepnie Wacek.

Dziewczyna nie odpowiada. Wolnym ruchem sięga po napełniony kieliszek i podnosi do ust, ale ledwie dotyka językiem płynu.

—To dla niej to zrobiłeś? — pyta. — Żeby mieć nowy wóz?

— A co nie warta?

— Dobrze to wszystko wykombinowałeś.

— A co może źle?

— A o tamtym, z „Dacią" to nie pomyślałeś.

— Niech każdy dba o siebie Taki już świat. Mógł nie pić Jakby nie pił to by tego wszystkiego nie było.

— Mógł nie pić. Pewno, że mógł nie pić. Ale koleżkę na niego nasadziłeś.

— A ty? Co? Takaś czuła? To czemuś mu dawała wódkę? Widziałaś, że przyjechał samochodem.

— Nie wódkę, a koniak. Mogłam nie dać? Ten twój kumpel zamawiał, a kiedy coś wtrąciłam do tamtego, żeby nie pił, to ten twój koleżka mi groził, że do książki zażaleń wpisze że jemu zamówionego napoju nie chcę dać. Próbowałam jeszcze temu z „Dacią" coś szepnąć, przekonać, ale powiedział, że jeden kieliszek koniaku jeszcze nikomu nie zaszkodził. A na jednym kieliszku się nie skończyło. Zresztą już po jednym nie był całkiem. Musiał być głodny i uderzyło mu szybko do głowy. Wypił nie więcej jak trzy kieliszki.

— Nie tłumacz się: Będziesz się w sądzie tłumaczyła.

— Co takiego? — woła oburzona kelnerka. — Ty! Ty mnie tu sądem straszyć będziesz?

— Ciszej. Żartowałem.

— Żartowałeś. Ładne mi żarty. Z tamtym też sobie pożartowałeś.

Przy sąsiednich stolikach nieliczni goście zamilkli Tylko mucha brzęczy. Dalej, w rogu sali tylko jakaś parka nie zwraca na nic uwagi. Zakochani. Zajęci własnymi sprawami.

— Nie krzycz i pij! — mówi Wacek wskazując na kieliszek przed dziewczyną.

Ale kelnerka wstaje i mówi dobitnie:

— Zmywaj się stąd łajdaku! Zrozumiano? — krzyczy teraz. — Wynocha! No, już!

Wacek podrywa się gwałtownie i w pierwszym odruchu unosi pięść. Ale ręka opada

— Uderz tylko — mówi dziewczyna. — Uderz! Jazda stąd, bo zadzwonię po milicję.

Wacek rzuca pieniądze na stół, odwraca się i wychodzi posłusznie.

— Stój! O sto złotych dałeś za dużo. — Ale tamten nie odwraca się. Dziewczyna widzi jego przygarbione plecy.

W tej chwili podchodzi do kelnerki kierownik gospody.

— Mania! — pyta zaniepokojony. — Co tu się dzieje? Coś się stało? Kto to był? Znasz go, że piłaś z nim?

— To kaskader — odpowiada dziewczyna.

— Kaskader? — powtarza tamten nie rozumiejąc. — Aha! To taki co w filmie...

— Jaki tam kaskader... łajdak i łobuz, nie żaden kaskader — mówi dziewczyna. Zgarnia pieniądze do kieszeni fartucha i wychodzi z sali odprowadzana zdziwionym spojrzeniem kierownika i kilku osób siedzących przy stolikach.

ODCIENIE JAKOŚCI

Fot. W. Parys

Dalszy ciąg ze str. 1

— Czy mogę zdjąć palto?

— Proszę, proszę bardzo. Niech pan usiądzie.

— Jak pan myśli, o co chciałbym pana zapytać?

— Panie, przecież tak nie można. Jest pan już chyba piątym dziennikarzem, który tu przychodzi, w tej samej sprawie. Ja już nie mam siły, tak nie można pracować. Proszę, proszę tu są wszystkie materiały, wycinki z prasy, pisma, odpowiedzi.

Tu wszystko jest. O proszę! „Głos Robotniczy" — „Kto odpowiada za złą jakość?" „Głos Pracy" — „Jak trafić w dziesiątkę — dyskusja o jakości produkcji", „Sztandar Młodych" — „Pytamy Zarząd Zakładowy ZSMP w zgierskiej „Zecie" — my w sprawie jakości". Wystarczy?! Jak przyjechali z „Głosu Pracy" to dyskusja trwała 10 godzin. Rozumie pan, 10 bitych godzin. Tu jest wszystko, niech pan sobie przeczyta i wnioski niech pan sam wyciągnie. Ja już nie powiem w tej sprawie ani słowa!

— Ale ja chcę rozmawiać z żywym człowiekiem, a nie z dokumentami.

— Dobrze, porozmawiam z panem, ale do diabła nich pan przestanie notować, niech pan to wszystko odłoży i mnie posłucha jak człowieka. Ja już tłumaczyłem tej pani redaktor z „Głosu Robotniczego"! Wiemy, że nie jest u nas najlepiej. Sami widzimy błędy, które występują. Pracujemy nad nimi. Panie, to nie są puste słowa, co mówię. Ale też ze strony prasy potrzebny jest obiektywizm, bezstronność, sprawiedliwość. Was obchodzi tylko jedno, piętnować, piętnować. Tyle a tyle odrzucono, tyle a tyle zareklamowano. Ale nikt nie wyjaśnia, nie interpretuje tych cyfr. Ta afera z Kielcami, niech pan popatrzy. „Głos Robotniczy" napisał:

„...Szczególnie duży udział wyrobów z wadami zawierała dostawa dla WPHW w Kielcach. Spośród 3.030 skontrolowanych ubrań zareklamowano tam jakość I, 665 sztuk, zaś faktycznie wadliwych sztuk stwierdzono 547..."

Jest to nieprawda, przeklasyfikowano 46 sztuk ubrań, a nie jak „Głos" napisał 547. Pomyłka jest prawie dwunastokrotna. Co z tego, że hurtownia w Kielcach przysłała nam teraz pismo z przeprosinami. Pomyłkowo wpisano na nasze konto reklamacje z wielu innych zakładów. Artykuł się już ukazał i zrobił swoje. Wczoraj jeden z pracowników opowiadał mi, że był w sklepie na Piotrkowskiej. Wisiały tam nasze garnitury. No i podchodzi jakiś facet przymierza garnitur. Dobrze na nim leży, widać, że jest zadowolony. Ekspedientka już mu pakuje. Facet patrzy na metkę — „ZETA". — „O nie, dziękuję! To o nich pisali, że chrzanią robotę. Dziękuję, nie wezmę tego".

A tymczasem wskaźnik uznanych klasyfikacji do produkcji sprzedanej wynosił za 3 kwartały 1975 roku 2,2 proc. W okresie trzech kwartałów 1976 roku sprzedano do WPHW 149.439 sztuk ubrań, wskaźnik uznanych reklamacji do produkcji zmniejszył się do 1,9 proc. A więc jest lepiej, nie gorzej.

— Czy to znaczy, że jest tak dobrze, i że nie mamy o czym mówić?!

— Nie. Nie jest dobrze. Wspomnę jeszcze o jednej sprawie, a potem przejdę do tego, co jest źle.

Braki mogą powstawać także, już poza murami naszego zakładu. Ubrania przewozi się do hurtowni samochodem. Ile razy już kierowca nie miał premii za brudny samochód! Druga sprawa, to same hurtownie. Kiedyś sam chodziłem butami po własnych garniturach — bo nie mogłem z magazynu inaczej wyjść. Ciasno, wszystko zawalone ubraniami, brak pomieszczeń.

— Czy to znaczy, że można zakwalifikować garnitur jako brak, który powstał już z winy hurtowni, a nie waszej?

— Ja tego nie powiedziałem. Panie, jak to potem można komu udowodnić? Można natomiast udowodnić, jak się złapie na gorącym uczynku. Robimy często takie kontrole. Wkraczamy na salę. Mam w ręku bubel — źle wszyte rękawy. Biorę pracownicę odchodzimy na bok do innego pomieszczenia. Niech pani to zakłada! Chciałaby pani, żeby pani mąż tak wyglądał?! A no nie, nie chciałabym. Kupiła by pani to w sklepie? A no nie, wybrałabym inne. Czy pani nie widzi, że to jest skandal zrobić coś takiego?! No to ona w płacz. „Panie dyrektorze już więcej nie będę..." i ryczy mi. Żeby to było raz, to pół biedy. Ale wchodzi pan trzy dni później i jest to samo. I co robić, niech mi pan powie? Co robić!? Wyrzucić na bruk?

Dyrektor naczelny mgr. HENRYK ANTCZAK, który od jakiegoś czasu przysłuchuje się naszej rozmowie, dodaje:

— Kilka miesięcy temu wyrzuciliśmy jednego — przychodził pijany do pracy. Tydzień potem dostał pracę w „Teofilowie", z wyższą stawką niż miał u nas.

— Tych czterdzieści sześć sztuk w Kielcach, to były jednak ewidentne buble, prawda?

— Tak, to prawda. Ale wysłaliśmy tam 3.323 sztuki. Tylko ten nie robi błędów, kto nic nie robi. Nie ma idealnego zakładu, który w ogóle nie ma reklamacji. Niech mnie pan postara się zrozumieć. Pan atakuje a ja staram się bronić, ale to nie o to chodzi przecież. Oprócz tego wszystkiego co robi kierownictwo, administracja zakładu, największy problem, to zwykła ludzka solidność. Program poprawy jakości nie jest oderwany od życia i realizuje się go konkretnymi posunięciami. Kompleksowy system sterowania jakością jest sprawą istotną, ale nie załatwia problemu. Żaden system go nie rozwiąże, jeżeli nie będzie można w stu procentach polegać na ludzkiej rzetelności. Przez całe lata ludzi wychowywało się w świadomości, że ważna jest ilość. Tylko ilość się liczyła. Za to były premie, nagrody, zdjęcia w prasie. Teraz ważna jest precyzja, dokładność, milimetry. Przedstawić ludzi na inną mentalność, to szalenie trudna sprawa. Sprawa, która wymaga czasu, i której nie załatwi się jednym zebraniem czy artykułem.

Usprawnienia racjonalizatorskie z ostatnich dziesięciu lat były nastawione przede wszystkim na ilość — jeżeli chodzi o jakość, nikt o tym na dobrą sprawę nie myślał. Teraz trzeba to wszystko odkręcać. Nie wszyscy ludzie to rozumieją. Pokazuję pracownikowi, że coś źle zrobił, a on mi mówi — „Oj, panie dyrektorze, przecież to tylko kilka milimetrów". Ale jak kilku ludzi zapomni o tych milimetrach, to klient nie może dopiąć marynarki w pasie. Jedna osoba przyszywa kieszeń dolną w marynarce, druga górną. Ta pracownica, która przyszywa górną kieszeń, powinna sprawdzić czy dolna jest dobrze przyszyta. Ale często ona patrzy tylko na swoją własną pracę, tylko to ją interesuje. Nie zwraca uwagi, że poprzedniczka źle zrobiła. Kiedy potem obcina się premie całej taśmie, to ona dopiero krzyczy — „To przecież nie ja zrobiłam, to tamta!" Wie pan, wystarczy na zmianie kilku takich ludzi, nieuczciwych, nierzetelnych, a lecą reklamacje. Wszystkich się nie upilnuje, na to nie ma rady. Gdyby każdy pilnował nie tylko siebie, ale i poprzednika, to wszystko byłoby w porządku. Wtedy jeszcze można poprawić. A jak cały garnitur jest już uszyty, to po wszystkim. Trzeba wszystko odrywać, przerabiać — często jest to już nieopłacalne. Osób niesolidnych jest ciągle jeszcze bardzo dużo. Te osoby, to myśli pan, taki artykuł biorą do siebie? Widzą tylko, że dyrektora w gazecie obsmarowali. To on się później tłumaczy.

Oglądałem ostatnio w TV program o jakości. W lodówkach odchodził lakier. Dziennikarz pyta się głównego konstruktora: — „Proszę pana, dlaczego to rdzewieje? Dlaczego lakier odchodzi?" A z boku pracuje facet, który zchrzanił właśnie tę robotę, bo nie wyczyścił dokładnie przed malowaniem. Ale tłumaczy się główny konstruktor. Aż się prosiło, żeby wziąć tego faceta przed kamerę i go o to zapytać.

— To niech pan mi da takiego faceta, który partaczy robotę.

— Dobrze, chodźmy na produkcję.

PRZY TAŚMIE

— Widzi pan, jak wchodzimy na halę, to ludzie mnie znają i wtedy wszyscy się pilnują. Śliczne garnitury robimy tu dla Szwecji. Z ich tkaniny zresztą. Rozmawiam z panem, ale cały czas obserwuję tamtego pracownika. Już dwa razy miał obrywaną premię. Ale ciągle partaczy robotę. Teraz się pilnuje. Chodźmy dalej.

Idziemy dalej.

— Proszę pani, ile razy mówiłem, jak to należy robić. Przecież tu wszystko odchodzi. Niech pani popatrzy. To jest źle, to jest źle, to jest źle. To wszystko trzeba poprawić! Czy pani była poinstruowana, jak należy wykonywać tę pracę?

— Ja pracuję tu tylko dzisiaj.

— Jak to tylko dzisiaj. Panie Szczepaniak, niech pan pozwoli! Czy mówił pan tej pani, jak to należy robić? Niech pan spojrzy, to wszystko jest źle. W ten sposób klejonka nie będzie trzymała!

— Oczywiście mówiłem jej! Ale co mam z nią zrobić?

— Za pół godziny niech się pan z nią u mnie zamelduje!

PYTANIA

Łatwo jest zakupić nowoczesne maszyny. Ale sprawić, żeby ludzie na nich rzetelnie pracowali — to już jest problem. Łatwo powiedzieć, że ktoś jest niedokładny, że jest leń i niechluj, lekceważy pracę. Ale dlaczego tak się dzieje? Co sądzić o człowieku, który trzeci raz nie otrzymuje premii a i tak dalej pracuje źle, z brakami? Gwiżdże na wszystko, nie zależy mu? Kobieta, której zwrócił uwagę dyrektor „Zety" była starszą panią. Pracuje w „Zecie" już wiele lat. Nie posądzam ją o to, by gwizdała na wszystko. Więc co? Obojętność na to, czy będzie dobrze zrobione czy źle — byle tylko było?

Odpowiedzi na te pytania musi znaleźć każdy, z nas, zastanawiając się nad tym, jak pracuje.

Fot. W. Parys

MAREK MILLER

TRĘDOWATA ROKU 1976

W dziejach polskiej kultury literackiej powieść Heleny Mniszkówny „Trędowata" (1908 r.) zajmuje, jak wiadomo, miejsce osobliwe. Wyklęta przez krytyków i smakoszów literatury cieszyła się i cieszy ogromnym powodzeniem w tzw. mniej wyrafinowanych kręgach czytelniczych. W efekcie, powieści Heleny Mniszkówny, traktowanej jako niezwykle ciekawe zjawisko z dziedziny socjologii literatury, krytyka poświęcała zawsze wiele uwagi.

Obecna filmowa wersja „Trędowatej", wyreżyserowana przez Jerzego Hoffmana, jest trzecią z kolei adaptacją książki Heleny Mniszkówny. Dwie pierwsze to niemy film z 1926 roku w reżyserii Edwarda Puchalskiego z Jadwigą Smosarską w roli tytułowej i film z 1936 roku z Elżbietą Barszczewską, w reżyserii Juliusza Gardana. Obu tym premierom towarzyszyły głosy krytyki.

Stwierdzenie tego faktu przydać się może w tym punkcie niniejszych rozważań, w którym należy postawić pytanie o motywy, jakimi kierował się współczesny nam producent — Zespół „Silesia" i reżyser Jerzy Hoffman, podejmując się realizacji nowej filmowej „Trędowatej". Jedno jest pewne: „Trędowata" zarobi prawdopodobnie na inne filmy, takie, które z tak jak tu przewidywaną życzliwością publiczności realizowane nie będą. Odnalezienie motywów następnych, w obliczu prezentowanego nam filmu, nie jest rzeczą prostą, a ich poszukiwanie było w jakiś sposób wliczone w oczekiwanie na tę premierę. Określony stan kultury literackiej i filmowej nakazywał w inicjatywie Jerzego Hoffmana szukać innych jeszcze motywów aniżeli tego pozornie tylko prozaicznego a wcześniej wspomnianego. Tym bardziej, że reżyser ten zapisał się we wdzięcznej pamięci widzów swymi świetnymi adaptacjami „Potopu" i „Pana Wołodyjowskiego".

Śmiem sądzić, że przewidywanie koncepcji reżyserskiej szło u potencjalnych widzów w dwóch kierunkach. Bądź oczekiwano pastiszu gatunku, bądź liczono na melodramat, który z całą odwagą zrealizowany zostanie wedle wszelkich praw jego konwencji. Śmiem też sądzić że głosy krytyki, z którymi „Trędowata" Jerzego Hoffmana zapewne się spotka, dotyczyć będą ewidentnego braku zdecydowania na przyjęcie jednej lub drugiej koncepcji, co wcale nie znaczy, że wybór którejś z nich eliminowałby pytanie podstawowe — po co ten film w 1976 roku w ogóle powstał. Ponieważ jednak jest, ocenić go trzeba ine ira et studio.

W mej prywatnej ocenie „Trędowata" Jerzemu Hoffmanowi nie udała się. Nie udała się, bo właśnie nie zdecydował się wedle jakiej konwencji ją realizować. Pojawiające się elementy pastiszu burzą ład gatunku zwanego melodramatem, są zbędne, jeśli nie określiły realizacji w całości. Moja prywatna wyobraźnia pozwalała mi przypuszczać, że można też było „Trędowatą", zachowując nawet duży dystans, wyreżyserować tak, by z jednej strony doszła do głosu świadomość gatunku pierwowzoru, a z drugiej zaś świadomość ukształtowanego przez niemałą już tradycję melodramatu filmowego. Z czymś takim mieliśmy do czynienia w przypadku „Dziejów grzechu" Waleriana Borowczyka, o czym można przecież mówić zachowując należne proporcje szacunku wobec klasyków. „Trędowata" Jerzego Hoffmana tych cech jednak nie posiada.

Powstał film, który ani wzrusza, ani bawi. Nie uruchamia też tych pokładów świadomości literackiej i filmowej oraz wrażliwości estetycznej, które aktywizował film Borowczyka. W ślad za tymi grzechami głównymi idą następne, będącymi tylko ich prostą konsekwencją. Film Jerzego Hoffmana jest, w mym przekonaniu, nieudany również w sferze samej reżyserskiej już pracy.

Dziwi mnie w filmie Hoffmana to, że mimo widocznych starań nie udało mu się wydobyć atmosfery uczuć: namiętności wiążących oboje nieszczęsnych kochanków. Toż w książce Mniszkówny materiału było wiele, tak wiele, że cytuje się ją jako jedną z bardzo nielicznych w naszej literaturze powieści o miłości. Można tu winić przystojnego Leszka Teleszyńskiego, że nic męskości i namiętności z siebie nie wykrzesał i że śliczna Elżbieta Starostecka nie wydobyła zmysłowości bohaterki powieści Mniszkówny, ale to przecież jednak Jerzy Hoffman życzył sobie określonych ról i tak a nie inaczej je prowadził. I tak, na dobrą sprawę, w zespole realizatorskim „Trędowatej" tylko jeden z twórców zdał egzamin z konsekwentności swego zamysłu, jest nim autor muzyki — Wojciech Kilar.

Tak więc pytanie o sens realizacji „Trędowatej" z wielu, nie wszystkich wyliczonych tu powodów, pozostaje nadal otwarte.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

TWARZE ZE SZKLANEGO EKRANU

Skarżył się kiedyś znany aktor Jan Nowicki, że telewizja zaserwowała jego postać w tak zwiększonej dawce („Dyrektorzy" plus dwa spektakle teatralne), że pewno teraz zniknie ze szklanego ekranu na dłużej. I rzeczywiście, Nowickiego nie widzieliśmy już dawno.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że telewizja, dając niezwykłą popularność, sprawia jednocześnie, że występujący w niej ludzie szybko nam powszednieją. Dla aktora jest tu jeszcze jedno niebezpieczeństwo, a mianowicie identyfikowanie aktora z kreowaną postacią. Jeszcze dziś, słysząc głos Władysława Hańczy, starsi ludzie powiadają: „O, koń, który mówi". Hańcza bowiem podkładał kiedyś swój charakterystyczny głos pod pewien popularny serial z mówiącym koniem. I nawet serial „Chłopi", gdzie Hańcza grał Borynę, tamtej postaci z pamięci nie wymazał.

Podobnie było kiedyś z **Bronisławem Pawlikiem**, który w programach dla dzieci bawił się w Misia z Okienka. Podobnie jest z głosem **Piotra Pawłowskiego**, który dubbingował Stirlitza... Przykłady zresztą można mnożyć.

Jeśli się nie mylę, to podobny los czeka **Wojciecha Pszoniaka**. Po znakomitej roli w „Nie do obrony" Osborne'a już pokazał się jako juror w programie rozrywkowym, a niedawno poświęcono mu osobną audycję z cyklu „Twarze teatru". Tylko czekać, aż go weźmie Studio 2, albo i realizatorzy „Tylko w niedzielę", potem weźmie udział w programie „XYZ" oraz w „Loży" i „Sam na sam"... I Pszoniaka będziemy mieli z głowy na dwa lata.

Tym razem idzie mi o sprawę nieco inną, a w każdym razie nie o aktorów. Nieprzemyślana „gospodarka" telewizyjnymi postaciami dotyczy bowiem także publicystów, krytyków, pisarzy i dziennikarzy telewizyjnych. Był czas, kiedy w „Pegazie" tydzień w tydzień wypowiadał się na różne tematy **Krzysztof Teodor Toeplitz.** Obecnie na gwiazdę telewizji wyrasta nam **Roman Szydłowski,** którego dwa, a czasem trzy razy d z i e n n i e możemy oglądać w telewizji. Przez jakiś czas w co drugim programie Publicystyki Kulturalnej występował **Aleksander Jerzy Wieczorkowski.** Jako dyskutant, komentator, juror, recenzent, a nawet reporter. Teraz Wieczorkowski zniknął i czekamy na następnego publicystę, którego telewizja wyeksploatuje aż do znudzenia.

Zniknęła sympatyczna spikerka **Elżbieta Śmiarowska,** zniknęła z Dziennika **Irena Falska.** Pokazała się za to znów pani **Bogumiła Wander.** Ostatnio zapowiadając program na dzień następny widać posłużyła się własnym tekstem, bo w krótkiej zapowiedzi oświadczyła, że „urozmaicony program urozmaicą występy artystów", i że „dla okraszenia Tele-Echa będzie dużo muzyki".

Ciekawe, co będzie z krakowskim dziennikarzem, kiedy kreuje postać porucznika Borewicza w serialu **Krzysztofa Szmagiera** „O7", zgłoś się". Co prawda nasz krakowski kolega zastrzega się podobno, że film go nie nęci i traktuje tę rolę jako przygodę, ale kto wie....Na razie telewizja nie stara się mu robić zbytniej reklamy. W artykule na temat serialu Szmagiera, opublikowanym w tygodniku „RTV", nie wymieniono nawet nazwiska głównego aktora „O7, zgłoś się". A wszystko wskazuje na to, że red. **Cieślak** zdobędzie popularność Mikulskiego, bo serial zapowiada się ciekawie. Wówczas zapewne będą i wywiady i udział w dziesiątkach innych programów i zdjęcie na okładce „RTV".

Odnosi się wrażenie, że telewizja n i e l a n s u j e ludzi, lecz lansują się oni sami poprzez telewizję, dzięki sytuacji, w jakiej się znaleźli (film, popularny program, itp.). Kiedy jednak okazuje się, że ktoś zdobył popularność, telewizja szybko o nim zapomina.

TELEMAN

SZPIEGOSTWO

„Czy jesteście pewni, że nigdy nie połknęliście mikrofonu, lub że nie umieszczono wam miniaturowego nadajnika pod plombą w zębie?"

Takie alarmujące pytania można coraz częściej przeczytać w prasie zachodniej. Plaga podsłuchów instalowanych w najróżniejszych instytucjach, a także w mieszkaniach prywatnych urosła na Zachodzie do rangi poważnego problemu społecznego, którego następstwa niejednokrotnie dotknęły bezpośrednio czołowych przedstawicieli władzy niektórych państw. Najbardziej spektakularnym pod tym względem przykładem była, jak pamiętamy, afera Watergate, która kosztowała Richarda Nixona fotel prezydencki, a wielu ludzi z jego najbliższego otoczenia — eksponowane stanowiska.

Podobne afery we Francji i RFN, choć nie pociągnęły za sobą tak drastycznych skutków, również przysporzyły sporo kłopotów władzom tych krajów. A przecież są to tylko najbardziej drastyczne przykłady szpiegowskiej działalności ze strony wyspecjalizowanych agend rządowych i tajnych służb. Tymczasem niezależnie od nich działa niezliczona ilość Jamesów Bondów, których każdy może wynająć do takiej roboty, oczywiście za odpowiednią opłatą. Ludzie ci trudnią się szpiegowaniem zawodowo, dorywczo, lub po prostu z prywatnej ciekawości. Zapotrzebowanie na ich usługi ciągle wzrasta, co powoduje również odpowiedni wzrost produkcji i wypuszczania na rynek coraz to nowszych i doskonalszych urządzeń podsłuchowych. Jeden z zachodnioniemieckich magazynów zamieścił niedawno ogłoszenie reklamowe pewnej firmy elektronicznej, tej oto treści:

„Oferujemy naszym klientom najnowocześniejsze, elektroniczne przyrządy specjalne, a wśród nich najnowsze typy urządzeń noktowizyjnych, specjalne przyrządy alarmujące, najmniejsze magnetofony, radiotelefony, aparaty podsłuchowe, urządzenia do wykrywania mininadajników, długopisy z mikrofonami oraz wiele innego sprzętu tego rodzaju...".

Powyższe ogłoszenie dość wymownie pokazuje zarówno w jak wielkim stopniu, jak też w jaki sposób epoka zminiaturyzowanej techniki elektronicznej i komputerowej zaczyna wkraczać i określać codzienne życie przeciętnego obywatela Zachodu.

Coraz bardziej wyrafinowane urządzenia przeznaczone do skutecznego uprawiania szpiegostwa trafiają na zwykły rynek i to po ogólnie dostępnych cenach. W okresie kilku ostatnich lat potajemne ingerencje w sferę prywatnego życia obywateli szeregu krajów zachodnich, a zwłaszcza USA, nabrały takich rozmiarów, iż problem ten stał się przedmiotem badań Komisji Praw Człowieka Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Obszerne sprawozdanie, jakie w związku z tym zostało opracowane przez ekspertów na polecenie wspomnianej komisji ONZ ujawniło m. in. istnienie regularnego przemysłu szpiegowskiego, który wyrósł w ostatnim okresie jak spod ziemi. Przemysł ten wykorzystuje niemal każdą nowość z dziedziny elektroniki, jaka pojawia się w wyniku prac badawczych różnych wyspecjalizowanych ośrodków naukowych i ich laboratoriów. Tak np. dla potrzeb medycyny zostały wynalezione swego czasu tzw. „włókna optyczne", przy pomocy których można fotografować wnętrza organów ciała. Te elastyczne włókna szklane dają się jednak wykorzystać również do „widzenia zza rogu", lub do filmowania zamkniętego wnętrza.

Lista przyrządów elektronicznych, które są dziś powszechnie wykorzystywane w działalności szpiegowskiej, jak wynika z raportu ONZ, jest dosyć obszerna. Toteż warto zwrócić uwagę tylko na najbardziej typowe formy szpiegostwa, w których przyrządy te znajdują powszechne zastosowanie. Oto na przykład klasyczny przypadek: podsłuch telefoniczny. **Podsłuchiwanie rozmów telefonicznych dawno już wyszło ze stadium, kiedy trzeba było przyłączać się bezpośrednio do przewodów. Najczęściej stosowaną obecnie techniką jest użycie cewki indukcyjnej. Wystarczy umieścić ją jedynie w pobliżu przewodu lub aparatu telefonicznego (nawet w odległości jednego metra), by odbierała implusy pola magnetycznego przewodów. Miniaturowy magnetofon połączony z cewką indukcyjną może rejestrować rozmowy telefoniczne w przedpokoju, pomieszczeniu sąsiednim, a nawet na ulicy.**

Do podsłuchiwania zwyczajnych rozmów oferuje się dzisiaj wiele mikrofonów specjalnych. Istnieją mikrofony o wielkości główki od zapałki. Ukryte gdzieś w pokoju przekazują prowadzoną tam rozmowę, na odległość ponad 400 metrów. Mikrofony pewnego typu nie potrzebują nawet znajdować się w pokoju, w którym ma być pod łuchana rozmowa. Za pośrednictwem radionamiernika bez trudu odbierają przez otwarte okno rozmowy z odległości 100 metrów. Przy pomocy tego urządzenia można naturalnie podsłuchiwać z dużej odległości rozmowy prowadzone na wolnym powietrzu. **Istnieją nawet mikrofony połączone z radionamiernikami, pozwalające na podsłuch przez zamknięte okna — i to z odległości 40 do 50 metrów.**

Inną odmianą są „mikrofony szpilkowe" wbijane z zewnątrz w ścianę budynku. Mają one wygląd małej szpilki i przejmują drgania murów, wywołane przez rozmowę prowadzoną w domu.

Niektóre systemy pracują z kolei przy wykorzystaniu promieni wysokiej częstotliwości, których właściwością jest przenikanie przez mury domów i całe bloki mieszkalne. Wiązka promieni po przeniknięciu do określonego mieszkania wychwytywana jest przez reflektor składający się z cienkiej membrany i specjalnej anteny.

Mikrofony kulkowe można natomiast za pomocą specjalnego karabinu wstrzeliwać przez okno np. do pomieszczenia na 20 piętrze. Dentysta może umieścić pacjentowi, bez jego wiedzy, mikrofon z mininadajnikiem w plombie. W ten sposób podsłuchiwane jest każde słowo wypowiedziane przez tę osobę. Raport ONZ wspomina również o możliwości podsunięcia komuś mikrofonu, lub nadajnika do połknięcia, np. przez ukrycie go w pigułce. W ten sposób z dużej odległości można śledzić każdy krok ofiary.

Szczególnie wyrafinowanym wynalazkiem jest tzw. podsłuch organkowy. Przyrząd ten wbudowuje się po kryjomu do telefonu ofiary. Chcąc podsłuchiwać rozmowy w danym pomieszczeniu, szpieg wykręca po prostu numer telefonu i gra jednocześnie do słuchawki określony ton na organkach: Sygnał ten uruchamia przyrząd umieszczony w telefonie osoby podsłuchiwanej. Przyrząd z kolei blokuje dzwonek oraz umożliwia przyłączenie mikrofonu słuchawki do sieci. „Podsłuch organkowy" można prowadzić z dowolnego aparatu, z różnych krajów świata, pod warunkiem, że obydwa aparaty przyłączone są do sieci zautomatyzowanej.

Najnowszym wynalazkiem w dziedzinie aparatów podsłuchowych jest „mikrofon laserowy". Za pomocą tego przenośnego urządzenia można odbierać rozmowy z odległości wielu kilometrów. Elektroniczne aparaty podsłuchowe potrafią jednak jeszcze więcej: np. mogą ze znacznej odległości odbierać i deszyfrować impulsy dalekopisu, mogą ustalać, w którym mieszkaniu jest telewizor i jaki odbierany jest w nim program, mogą wreszcie mierzyć danej osobie, bez jej wiedzy, puls i ciśnienie krwi.

Szpiedzy chcą jednak nie tylko słyszeć, ale i widzieć. Istnieją dzisiaj teleobiektywy wielkości zaledwie 20 centymetrów, umożliwiające sfotografowanie z odległości 100 metrów strony maszynopisu. Wzmacniacze światła umożliwiają obserwację i fotografowanie również o zmierzchu i przy świetle księżyca. Stabilizatory obrazu zapewniają ostrość zdjęć, nawet jeśli się je robi ze śmigłowca lub z marszu. Miniaturowe kamery telewizyjne o wymiarach zaledwie 22x7 cm, których zdjęcia odbierane być mogą z odległości kilkuset metrów, dają się łatwo ukryć w wybranym pomieszczeniu. Ich obiektyw ma średnicę papierosa. Przy zastosowaniu wspomnianych już wyżej „włókien optycznych" można zamontować kamerę nawet poza obserwowanym pomieszczeniem.

Przy pomocy promieni podczerwonych można robić zdjęcia również w absolutnej ciemności. Lampę emitującą promienie podczerwone można umieścić w żyrandolu, nadając jej wygląd zwyczajnej, wyłączonej żarówki. Pomieszczenie można „oświetlać" promieniami podczerwonymi również z zewnątrz. Istnieją nawet materiały budowlane, nie przepuszczające zwykłego światła, lecz przepuszczające promienie podczerwone. Dzięki podczerwieni oraz innym promieniom można prześwietlać listy i fotografować ich tekst. Wyszkolony personel odczytuje prawidłowo również zachodzące na siebie wiersze. Do czytania obcej korespondencji, bez otwierania kopert, stosuje się także „lampki kieszonkowe" w formie cienkich szpil. Wprowadza się je do koperty i podświetla wiersz po wierszu. **Do dość kosztownych przyrządów szpiegowskich należą obecnie maszyny szybko czytające, które mogą zarejestrować 840 stron maszynopisu na godzinę, bądź bezzałogowy śmigłowiec o średnicy 1 metra. Można go umieścić na wysokości 30 do 600 metrów, powodować obroty w różnych kierunkach i robić przy jego pomocy precyzyjne zdjęcia filmowe oraz nagrania dźwięku.**

Wszystkie te techniczne urządzenia szpiegowskie mają jedną cechę wspólną: stosowane są potajemnie, bez wiedzy ofiary. Istnieją jednakże i inne metody zdobywania intymnych informacji z prywatnego życia, przy czym ofiara dobrowolnie współdziała, nie zdając sobie co prawda sprawy z celu przedsięwzięcia. Do tych otwarcie stosowanych metod należą tzw. „testy osobowości". Kategorią pokrewną jest „detektor kłamstwa", oraz „serum prawdy" (analiza Narco). Testy osobowości stosuje się dzisiaj na wielką skalę, przeważnie zresztą w celach godnych uznania. Pomagają one bowiem stwierdzić przydatność zawodową, lub postawić diagnozę psychiatryczną. Oznaczają one jednak niedopuszczalną ingerencję w sferę prywatną wówczas, gdy zmierzają do poznania intymnych tajemnic pytanego, jego przekonań politycznych, lub stanów podświadomości.

Liczba metod testowych szybko rośnie. **Tak na przykład na obszarze języka angielskiego były w 1949 roku 72 opatentowane testy, w 1953 r. — już 101, a w 1972 r. — 225.** Liczby te obejmują tylko te metody, które np. z racji chęci ich komercjalnego wykorzystania przez wynalazców były przez nich podawane do wiadomości publicznej. Przy tym ocena odpowiedzi udzielanych przez osoby poddawane testom jest wielowarstwowa. W przypadku pewnych testów wcale nie chodzi o właściwe odpowiedzi, lecz o czas reakcji, sposób patrzenia pytanego, drgania jego powiek, różnice w głosie, przyśpieszenia oddechu itp. Jedna z metod testowych polega na bezpośredniej obserwacji źrenic (ewentualnie za pomocą kamery), mierzenie uderzeń serca oraz przewodności elektrycznej skóry, zmieniającej się pod wpływem pocenia. Obserwacje te pozwalają wnioskować o takich stanach umysłu, jak poczucie winy, bojaźliwość, zainteresowanie, napięcie.

Metody powyższe zbliżają się już do osławionego „detektora kłamstwa", którego sondy można w niewidoczny sposób umieścić w krześle zajmowanym przez pytanego. Skonstruowano też nowy typ detektora kłamstwa, który ustala napięcie psychiczne badanego na podstawie jego głosu. Obserwuje się też ruchy źrenic, podsuwając osobie badanej zdjęcia. W ten sposób da się np. rozpoznać, którego z kandydatów w kampanii wyborczej osoba pytana wewnętrznie faworyzuje. Tak oto narusza się tajemnicę wyborczą.

Z kolei różne „odczynniki prawdy", jak Scopolamina i Sodium-penthobarbital, powodują, że pytany (lub przesłuchiwany) przypomina sobie coś, co według jego przekonania już zapomniał, np. prowadzoną przed kilku laty przypadkową rozmowę.

Spośród pisemnych testów osobowości najczęściej stosuje się **„Mansley Personality Inventory"**, ankietę Cattella i wielofazowy test stworzony przez Uniwersytet w Minnesocie. Ten ostatni składa się z 566 elementów, które można stosować w 212 różnych kombinacjach. Można przy tym ustalić nie tylko przekonania społeczne badanego, jego pragnienie sukcesu, stopień psychologicznej męskości, bądź kobiecości, lecz także np. jego talent do koszykówki. Ogólnie biorąc, szereg testów umożliwia, bez wiedzy pytanego, ujawnienie życzeń, zainteresowań, poglądów politycznych, przekonań religijnych oraz zasad moralnych.

Tego rodzaju szpiegostwo psychologiczne, połączone ewentualnie z bezpośrednią obserwacją życia prywatnego, jak podkreśla raport, stanowi w epoce wysokowydajnych komputerów ogromne niebezpieczeństwo dla wolności osobistej. Wszystkie zebrane informacje dotyczące milionów ludzi można magazynować i klasyfikować elektronicznie, a także w zależności od potrzeby szybko je uzyskiwać. Przy tym współczesne maszyny cyfrowe mogą nie tylko gromadzić i przechowywać w swych pamięciach informacje szpiegowskie, lecz je również opracowywać. Raport ONZ opisuje np. przypadek, kiedy przy pomocy maszyn szybko czytających odnotowuje się wszystkie przechodzące przez pocztę adresy nadawców i odbiorców. Następnie komputer porządkuje adresy, dając dokładny obraz kontaktów korespondencyjnych każdego obywatela. Analogicznie do tego przyrządy mogą rejestrować każde połączenie telefoniczne oraz numery aparatów, z których prowadzona jest rozmowa.

Bez wątpienia zasygnalizowane powyżej możliwości są już w znacznym zakresie wykorzystywane. Pojedyncza osoba jest wobec nich bezbronna — już choćby tylko z tego powodu, że właściwie nigdy nie może udowodnić, iż jest obserwowana, jeśli w ogóle żywi takie podejrzenia. Coraz częściej można zatem spotkać głosy, iż czas wreszcie położyć kres tej bezprawnej działalności szpiegowskiej. Jest tylko jedno zasadnicze pytanie: w jaki sposób?

Eksperci, którzy opracowali wspomniany raport ONZ są na przykład zdania, iż propozycja generalnego zakazu sprzedaży przyrządów wykorzystywanych do celów szpiegowskich jest w obecnych warunkach zupełnie nierealistyczna. Wynika to po trosze z faktu, iż w różnych krajach Zachodu obowiązują dość zróżnicowane w swym charakterze i interpretacji ustawy odnoszące się do ochrony sfery życia prywatnego. Dlatego też specjaliści z Komisji Praw Człowieka Narodów Zjednoczonych proponują stworzenie norm międzynarodowych. Tak np. sugerują reglamentację przez państwo testów fizycznych i psychologicznych w taki sposób, aby zagwarantować w sposób możliwie najpełniejszy ochronę sfery życia osobistego. Ich zdaniem stosowanie przyrządów podsłuchowych i przeznaczonych do obserwacji mogłoby wchodzić w grę jedynie w przypadku ciężkich przestępstw kryminalnych lub poważnego zagrożenia bezpieczeństwa państwowego, przy czym zostałaby zastosowana odpowiednia forma kontroli w celu zapobieżenia nadużycia tego prawa. Odnośnie zaś produkcji, sprzedaży i posiadania przyrządów szpiegowskich sprawozdanie ONZ postuluje wprowadzenie obowiązku uzyskiwania zezwoleń na dostęp do tych przyrządów, podobnie jak jest to od dawna w większości krajów w przypadku broni palnej.

Być może, o ile propozycje te zostaną przez poszczególne państwa zainteresowane, zaaprobowane i zrealizowane, przyczynią się one do ograniczenia skali i zasięgu działania rozwijającej się obecnie bez przeszkód działalności szpiegowskiej. Niemniej wydaje się, iż są to tylko półśrodki, bowiem źródła owej działalności należy upatrywać raczej w określonym układzie stosunków społecznych oraz w ustroju społeczno-politycznym większości krajów zachodnich mieniących się „demokracjami". Toteż omawiany problem może zostać rozwiązany jedynie poprzez oddziaływanie na jego przyczynę, a nie na skutek.

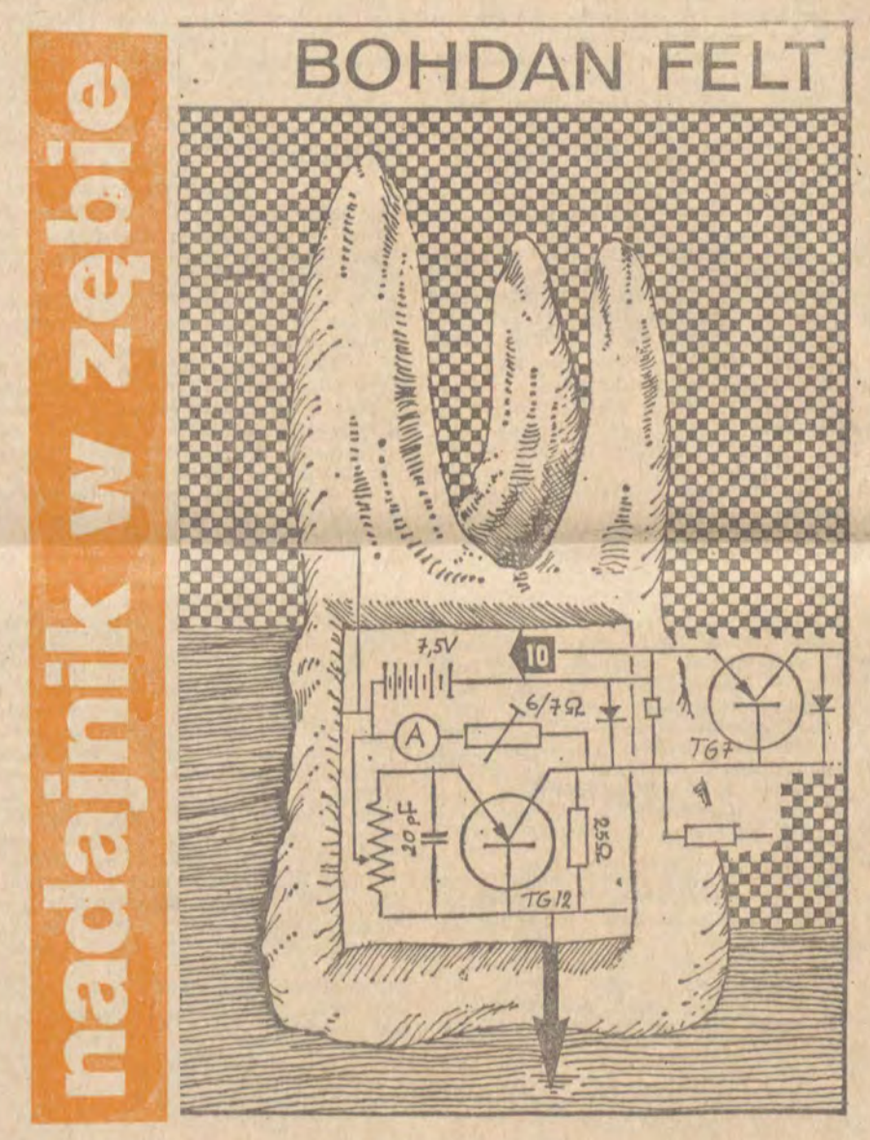

Rys. Janusz Szymański-Glanc

JERZY WILMAŃSKI

NAUCZYCIELE Z ŁOWICZA

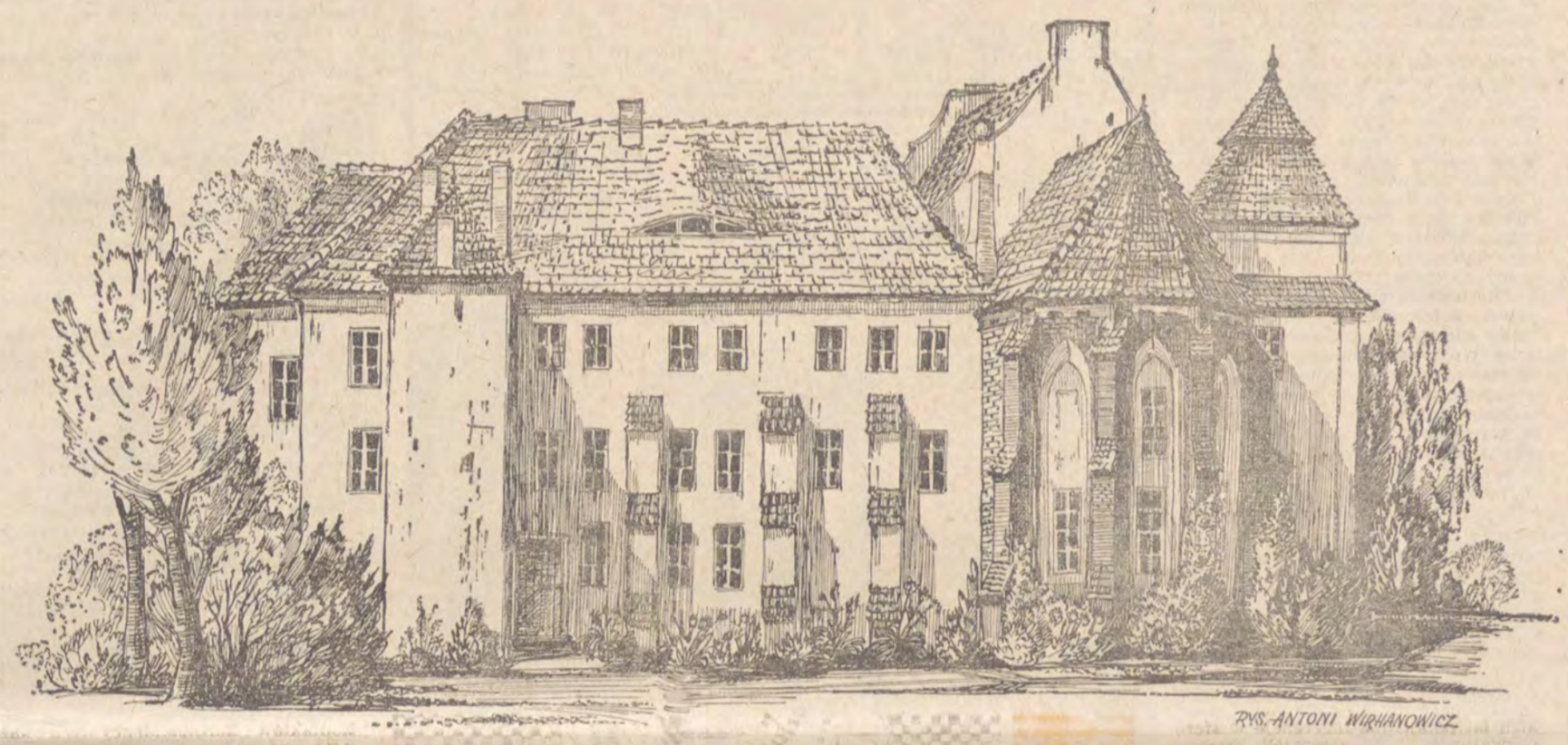

Nie da się ukryć — szkolnictwo w Polsce bardzo rozwinęli pijarzy i początkowo były to szkółki dla dzieci ubogich. Dla jasności dodajmy, że właściwie pierwsze tego rodzaju szkółki powstały jeszcze przed powołaniem zakonu. Uczono w nich, oprócz — oczywiście — religii, języka ojczystego, trochę łaciny, przede wszystkim jednak rachunków, by przygotować dzieci do życia.

Był to koniec wieku XVI i na owe czasy program szkół pijarskich był niezwykle postępowy. Potem jednak pijarzy przestawili się na szkolnictwo średnie czyli tzw. kolegia, zaniedbując szkolnictwo dla ludu. W kolegiach program nauczania miał charakter językowo-retoryczny; celem było biegłe mówienie po łacinie. Ale pijarzy umieli pójść z duchem czasu. Już na początku wieku XVIII reformowali swoje szkolnictwo uwzględniając nowe oświeceniowe prądy.

Do Polski przybyli w roku 1642 i założyli w krótkim czasie ponad dwadzieścia szkół.

I w tym miejscu zaczynają się dzieje łowickiego szkolnictwa, które przecież wywodzi się od pijarskiej szkoły, założonej w 1668 roku. Fundatorem tej pierwszej szkoły średniej w Łowiczu był **Jan Szamowski**, kasztelan gostyński.

Jak pisze dr **Jan Wegner** w swoim szkicu zamieszczonym w **„Księdze pamiątkowej Koła Wychowanków i Wychowanek Szkół Średnich Ogólnokształcących w Łowiczu" (LSW-1968)**: „Początkowo zajęcia szkolne odbywały się w klasztorze bernardynek za zgodą prymasa **Mikołaja Prażmowskiego.** W roku 1673 szkoła otrzymała stałe pomieszczenie w kamienicy tzw. Doktorowskiej, specjalnie kupionej na ten cel przez **Jana i Annę Szamowskich** od kapituły łowickiej.

Dalsze dzieje szkolnictwa średniego w Łowiczu są bogate w wydarzenia i nazwiska (wychowankami Szkoły Realnej na przykład byli m.in. **Stanisław Noakowski,** wybitny artysta i **Stefan Starzyński,** bohaterski prezydent Warszawy), ale zainteresowanych odesłać należy do wyczerpującego szkicu dra Jana Wegnera. Rocznica 200 lat szkolnictwa średniego w Łowiczu minęła równo osiem lat temu, bez specjalnej zresztą wrzawy, co dziwne, bo takie jubileusze w naszych dziejach powinny być szczególnie fetowane.

Po tamtym jubileuszu pozostała wspomniana „Księga Pamiątkowa" wydana w małym nakładzie i szerzej zapewne nie znana. A szkoda, bo zawiera publikacje cenne i nader interesujące.

Zostawmy jednak minione 200-lecie, bo oto **z upływem tego roku mija nam inny jubileusz łowickiego szkolnictwa. Co prawda nie 200 lat, ale bądź co bądź 190. Miejmy nadzieję, że na pełną rocznicę dwóch wieków władze oświatowe wygotują jakąś jubileuszową Księgę lub Sesję Naukową.** Łowicz zasługuje na to, zważywszy, że dzieje szkolnictwa przebiegają tu dwutorowo: od wieków istnieją tu szkoły średnie oraz funkcjonuje szkolnictwo nauczycielskie.

Zasad kształcenia nauczycieli w Łowiczu był jedną z najstarszych w Polsce instytucji tego typu. Wyprzedza je jedynie seminarium nauczycielskie, założone w Wilnie w 1775 roku. Istniało ono zresztą krótko, zaledwie pięć lat.

Rok 1786 — sto dziewięćdziesiąt lat temu — zapisał się w dziejach Łowicza i w dziejach polskiego szkolnictwa rozpoczęciem kształcenia stypendystów „przeznaczonych do stanu nauczycielskiego". Początkowo było tych adeptów zawodu nauczycielskiego zaledwie szesnastu. **Otóż w roku 1786 prezes Komisji Edukacji Narodowej, brat królewski, prymas Michał Poniatowski, utrzymywał swoim kosztem przy łowickiej szkole wydziałowej stypendystów przeznaczonych do stanu nauczycielskiego.**

Fakt ten stanowi początek zorganizowanego kształcenia nauczycieli na ziemiach polskich. Dodajmy jeszcze, że właśnie w Łowiczu zachowała się ciągłość kształcenia poprzez międzywojenne **Seminarium Nauczycielskie,** powojenne **Liceum Pedagogiczne, Studium Nauczycielskie** — aż do dziś, do kursów **Instytutu Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych.**

W roku 1934 ukazała się praca prof. **Józefa Dutkiewicza,** omawiająca historię kształcenia nauczycieli w Łowiczu do roku 1933. Z tej — mało znanej dziś publikacji — chcemy przypomnieć kilka faktów.

Zaczątek seminarium nauczycielskiego istniał do roku 1793, kiedy to po drugim rozbiorze Łowicz znalazł się pod panowaniem Prus. Władze pruskie na początku kształciły nauczycieli Polaków dla szkół parafialnych w Cylichowie koło Zbąszynia. Potem jednak zdecydowano się na powołanie dwóch seminariów — w Poznaniu i Łowiczu. **Dekret o powstaniu zakładu podpisano 30 czerwca 1804 roku. Po jedenastoletniej przerwie historia szkolnictwa pedagogicznego rozpoczęła się w Łowiczu na nowo.**

Zanim jednak działalność instytutu na dobre się rozpoczęła (gmach pobernardyński wymagał remontu), do Łowicza wkroczyły w listopadzie 1806 roku wojska francuskie, ogłoszono powstanie narodowe i przyszli nauczyciele prawie wszyscy wstąpili do wojska.

Instytut jednak istniał nadal — przyszli nowi słuchacze, a rektor Siewieluński opracował bardzo ciekawy projekt... przysposobienia wojskowego dla uczniów seminarium. **Niewątpliwie był to pierwszy w Polsce projekt Studium Wojskowego, bardzo zbliżony do rozwiązań współczesnych.** Rektor proponował, aby seminarzyści „ćwiczyli się w mustrze wojskowej i władaniu bronią", czego uczyć ich mieli „za małą nagrodą" podoficerowie gwardii narodowej. Niestety, nie wiadomo czy projekt ten został wprowadzony w życie.

Potem, w roku 1814, przekształcono seminarium w **„szkołę nauczycieli wiejskich i organistów",** dodając do programu łacinę i muzykę. Poziom naukowy został — niestety — obniżony.

A jednak napływ kandydatów był znaczny, co zresztą nie powinno dziwić. Poznań pozostał poza granicami Królestwa i seminarium w Łowiczu było przez czas jakiś j e d y n y m zakładem kształcenia nauczycieli szkół początkowych. A przecież w pierwszych latach istnienia Królestwa Polskiego znacznie zwiększyła się ilość szkół. Potem powstał Instytut Nauczycielski w Puławach.

W roku 1816 uczono nauczycieli w Łowiczu: religii, języka polskiego, łaciny, arytmetyki, geometrii, mechaniki, fizyki, geografii, historii powszechnej i Polski, historii naturalnej (dziś powiedzielibyśmy — biologii), ekonomii, ogrodnictwa, technologii, kaligrafii, deklamacji, pedagogiki, muzyki i śpiewu.

Co wówczas rozumiano pod pojęciem „pedagogika?" Oto fragment programu: **„Kandydaci mają się dowiedzieć o wychowaniu fizycznym i moralnym, o wykorzenianiu złych nałogów, o karach i nagrodach, o kształceniu rozumu, pamięci i uwagi, a także o tym, jak utrzymać powagę i dobry porządek w szkole, jak zjednać sobie miłość dzieci i zaufanie rodziców. Pedagogika uczy dalej, jakim ma być dobry nauczyciel, jakich sposobów ma się trzymać przy nauce czytania, pisania, rachunków, geografii i historii, jak robić rozkład materiału ze względu na czas i klasy, jak układać sprawozdania i raporty".**

Dzisiejsi nauczyciele widzą więc, że ten program pedagogiczny sprzed 160 lat jest i dziś całkowicie aktualny.

Mijały lata, zmieniały się rządy, programy, nazwy i zadania zakładu, ale rektor pozostawał wciąż ten sam. **Jan Siewieluński** wytrwał na tym stanowisku równe ćwierć wieku. Odszedł dopiero w roku 1833, a więc po Powstaniu Listopadowym.

Potem nastąpiła epoka paskiewiczowska, zmiany w programie następują zgodnie z duchem ówczesnej sytuacji kraju — wreszcie zapada decyzja, aby seminarium przenieść z Łowicza do Radzymina. Stało się to w styczniu 1846 r.

Następny rozdział dziejów łowickiego seminarium nauczycielskiego to lata 1916—1939. Po siedemdziesięcioletniej przerwie otwarcie nastąpiło we wrześniu 1916 roku. Pierwszy egzamin maturalny odbył się w czerwcu 1920 roku; ukończyło wówczas szkołę 21 wychowanków. Do wybuchu drugiej wojny światowej łowickie seminarium zakończyło ponad pół tysiąca absolwentów.

Historia łowickich zakładów kształcenia nauczycieli w naszym trzydziestoleciu nie została jeszcze spisana. Wyznaczają ją trzy etapy — **Liceum Pedagogiczne, Studium Nauczycielskie i obecnie działalność IKNiBO.** Myślę, że dzieje szkolnictwa pedagogicznego w tym mieście, tak znaczące i charakterystyczne dla dziejów oświaty w Polsce, zasługują na rzetelne opracowanie historyków i przedstawienie owych opracowań na specjalnej sesji naukowej.

Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe systematycznie uzupełnia nasz rynek księgarski pozycjami z zakresu sztuki współczesnej, sztuki dawnej i starożytnej, nie tylko kręgu europejskiego, ale i cywilizacji pozaeuropejskich. Edycje ukazują się w pięciu seriach: „Panorama sztuki", „Kultury starożytne i cywilizacje pozaeuropejskie", „Artystyczne regiony świata", „Sztuka polska" oraz „Style — kierunki — tendencje"; niewielkiego formatu książeczki w plastykowanej, barwnej oprawie, z dużą ilością ilustracji znalazły już sobie wiernych i niecierpliwych czytelników.

Ostatnio właśnie na półkach księgarskich ukazały się dwie pozycje Wydawnictwa z powyższego cyklu, na które chciałbym zwrócić uwagę. Są to: „Sztuka flamandzka i belgijska" Roberta Genaille i Michała Gawlikowskiego „Sztuka Syrii". Zacznę może od tej drugiej pozycji, jako że sam temat domaga się prawa pierwszeństwa już z racji swego dostojnego wieku. Ale nie tylko. Prowadzone przez polskich archeologów badania nad starożytnością, a przede wszystkim prace prof. Kazimierza Michałowskiego i jego „ekipy" i uczniów wytworzyły w Polsce klimat zainteresowania kulturami starożytnymi. Stała ekspozycja fresków z Faras w Muzeum Narodowym w Warszawie, odkrycia w Egipcie i Palmyrze, publikacje prof. Michałowskiego — wszystko to pobudziło wyobraźnię i pożądaną ciekawość. Tak więc ukazanie się w serii „Kultury starożytne i cywilizacje pozaeuropejskie" książki Michała Gawlikowskiego o sztuce Syrii nie jest przypadkowe, tym bardziej że autor kieruje od kilku lat badaniami archeologicznymi w Palmyrze, rozpoczętymi w 1959 roku przez prof. Michałowskiego. Tematem książki jest historia sztuki

KSIĄŻKI O SZTUCE

starożytnej Syrii w jej ówczesnych granicach, różnych od obecnych, ukształtowanych w roku 1920 na mocy międzynarodowych porozumień, skreślona w oparciu o szerokie tło geograficzno-historyczne. Gawlikowski pomija w swej publikacji dzieje sztuki arabskiej, która rozkwitła na terenach bliskowschodniej Azji w średniowieczu, wykazuje żywe przejawy po dzień dzisiejszy. Jest to zrozumiałe, bowiem islam wytworzył odrębną i samoistną kulturę na szerokich obszarach azjatyckich i północnoafrykańskich i traktowany być musi oddzielnie.

Nazwa — Syria — jest grecką deformacją słowa Asyria. Ludy, które zamieszkiwały jej obszar, pozostawiły po sobie w spadku świadectwa wielkiej monumentalnej kultury i sztuki. Przekazały pokoleniom także wartości inne, których znaczenie w procesie kulturotwórczym trudno przecenić. Wystarczy przypomnieć, że tu właśnie wynaleziony został alfabet, że stąd wywodzą się dwa wielkie systemy religijne: judaizm i chrześcijaństwo. Epoki neolitu, brązu i żelaza pozostawiły niestety stosunkowo mało (jak wynika z dotychczasowych badań archeologicznych) dowodów cywilizacji. Podbój Aleksandra Macedońskiego wciągnął Syrię w krąg kultury greckiej i z tego okresu zachowało się najwięcej świadectw działalności artystycznej: świątyń, grobowców, fresków, rzeźb, broni i przedmiotów codziennego użytku. Czas położył swoje piętno na tych znaleziskach i ruinach. Przydał im swoistego dostojeństwa, ale też uczynił wyrwy, które wysiłek archeologów stara się wypełnić.

Druga pozycja — książka Roberta Genaille „Sztuka flamandzka i belgijska" — jest właściwie katalogiem autorów, tytułów i dat bardzo skrzętnie ułożonym. Rozpoczynają ją czasy poprzedzające Jana van Dycka, a kończy omówienie współczesnej sztuki belgijskiej, która to część jest najbardziej atrakcyjna i żywa. Dotychczas nie mieliśmy właściwie żadnej zbiorczej informacji o współczesnych twórcach belgijskich i dlatego nawet te skąpe, encyklopedyczne dane stanowią dla zainteresowanych sporą wartość.

ANDRZEJ GRUN

SPORT

DO WIOSNY

Skończyła się jesienna runda piłkarskich rozgrywek. Przypomnijmy może sobie tabelę: mistrzem jesieni piłkarskiej 1976 został ŁKS z 22 zdobytymi punktami i 8 straconymi, na drugiej pozycji uplasował się wrocławski Śląsk ze stosunkiem punktów 20:10, na trzeciej mielecka Stal (19:11). Widzew zajął w jesiennej rundzie 5 miejsce, zdobywając 18 punktów, a tracąc 12.

Z bardzo dobrym stosunkiem bramek zakończył też ŁKS jesienną rundę ligowych rozgrywek, strzelając w 15 meczach 26 goli i tracąc 12, a więc różnica na korzyść ŁKS wynosi 14 goli. Śląsk przy zdobytych 20 punktach strzelił 19 bramek, wbito mu 18. Widzew zakończył jesienną rundę różnicą 4 bramek na swoją korzyść (26:22).

A jak było jesienią rok temu? Warto sobie przypomnieć fakty sprzed roku, aby tym lepiej uświadomić drogę przebytą przez łódzkie drużyny piłkarskie. Liderem jesiennej rundy 1975 roku był chorzowski Ruch, drugą pozycję zajmował GKS Tychy, trzecią Stal Mielec. Widzew zakończył jesienną rundę 1975 roku na 6 pozycji, zdobywając 16 punktów, a tracąc 14. Widzewiacy strzelili wówczas 15 bramek, a im strzelono 13. ŁKS zajmował 15 pozycję, z 10 punktami zdobytymi i 20 straconymi i z niekorzystną dla siebie różnicą 9 bramek. Tak było.

Tej jesieni łódzkie drużyny stały się rewelacją piłkarskich rozgrywek. Zajmujący 5 miejsce w klasie międzywojewódzkiej łódzki Orzeł wszedł do ćwierćfinału Pucharu Polski, stając się sensacyjnym pogromcą chorzowskiego Ruchu oraz poznańskiego Lecha. Jeśli nawet założyć, że niektóre drużyny rozgrywki Pucharu Polski traktują jako konieczny obowiązek, nie stawiając sobie w nich zbyt wysokich celów i koncentrując się przede wszystkim na zajęciu dobrej pozycji w ligowej tabeli, to i tak sukces Orła jest godny uwagi. Powinien on zwrócić uwagę kibiców na fakt, że w Łodzi jest nie tylko ŁKS, Widzew, ale też i inne drużyny chciałyby i — miejmy nadzieję — będą się liczyć w krajowych rozgrywkach.

A przecież tak niedawno różni sceptycy zastanawiali się, czy w ogóle stać Łódź na to, aby miała dwie drużyny w pierwszej lidze. Okazało się, że stać. Więcej nawet. Okazało się, że łódzkie drużyny mogą odgrywać czołową rolę w krajowych rozgrywkach. O Widzewie na przykład mówiono, że jest to drużyna jednego sezonu. Jakoś te proroctwa na nic się zdały i Widzew nie tylko, że nie spadł z I ligi, ale nadal utrzymuje się w środku tabeli i można mieć nadzieję, że nadal będzie odgrywał niebagatelną rolę na boiskach polskiej pierwszej ligi. Zresztą piłkarze Widzewa mieli okazję latem tego roku gościć na zagranicznych boiskach, nie przynosząc wstydu swoim kibicom. A poza tym drużyna ta dostarczała i dostarcza nadal piłkarzy do kadry Jacka Gmocha.

Prawdziwą rewelacją tej jesieni okazał się ŁKS, który po objęciu drużyny przez nakomitego fachowca — Leszka Jezierskiego, nie tylko podniósł się z upadku, ale potrafił poradzić sobie z rutynowanymi drużynami, od dawna odgrywającymi decydującą rolę w pierwszej lidze. Wielu kibiców zadaje sobie pytanie, jak możliwa jest taka nagła i — przyznajmy to — nieoczekiwana zmiana? Sądzono powszechnie, że po objęciu zespołu przez Leszka Jezierskiego będzie się ten zespół piął powoli po szczeblach ligowej drabiny, a tu nic z tego. Od razu nagły skok. Wynika on również z tego — jak można sądzić — że wiele zmieniło się w Łódzkim Klubie Sportowym i że stworzono piłkarzom, tak jak tworzy się już i innym sekcjom, odpowiednie warunki dla dobrej pracy, która daje oczekiwane efekty na boisku. Słynni niegdyś „Rycerze wiosny" stali się nagle „Rycerzami jesieni". Byłabym jednak ostrożna w lansowaniu takich określeń, bo zawarty jest w nich pewien sens pejoratywny. Niby to, że stać ich tylko na sukces jednego sezonu. A przecież ambicją i Leszka Jezierskiego, i jego zespołu jest utrzymanie przodującej roli również w sezonie wiosennym.

Skończyła się runda jesienna ligowych rozgrywek i nastąpiła przerwa. Jest to bardzo trudny okres dla wszystkich zespołów, gdyż w przerwie można utracić dobry rytm pracy, można po przerwie znaleźć się w zupełnie nieoczekiwanej i trudnej sytuacji. Dotyczy to wszystkich zespołów. Trzeba bowiem pamiętać, że i krakowska Wisła nie spocznie i nie zrezygnuje z walki, a jest to zespół wielkich możliwości. Nie zrezygnuje również mielecka Stal, która chciałaby sobie powetować w przyszłości niepowodzenia w międzynarodowych spotkaniach tego sezonu. Nie wolno zapominać, że również w Chorzowie rośnie niebezpieczny partner, a i przecież wrocławski Śląsk też nie zrezygnuje ze swoich ambicji. Chciałabym mieć też nadzieję, że Widzew pod kierunkiem Pawła Kowalskiego nie zadowoli się środkowym miejscem w tabeli i będzie stawiał sobie coraz to wyższe wymagania.

I chociaż specjaliści nie są zadowoleni z poziomu ligowych rozgrywek, to mimo to wiosenna runda zapowiada się niezwykle interesująco. A zatem poczekajmy do wiosny. Do wiosny w lutym.

BOGDA MADEJ

POWIEŚĆ W ODCINKACH (2)

— Że wszystkie jesteśmy normalne z wyjątkiem pani Oli. Pani Ola też jest w zasadzie poczytalna, ale miała mniej punktów na normalność niż my. To konsument jest nienormalny. Wie, co go czeka a jednak przychodzi. Pani psycholog zauważyła, że niewielu konsumentów protestuje. Większość się przymila, żeby omotać obsługę. Konsumenci hamują swoje prawdziwe uczucia i udają inne, co jest bardzo niezdrowe dla psychiki. Natomiast personel się nie hamuje i niczego nie udaje i to jest dla jego osobowości bardzo korzystne. Pani psycholog powiedziała, że nie ma w nauce słowa na określenie postawy konsumenta i nazwała to spsieniem...

— Jak?

— Spsienie.

— Hm — chrząka prelegentka — A u was niczego nie wykryła?

— Nic. Powiedziała tylko, że jesteśmy tak pospolite, że graniczy to z fantazją.

— Mądra baba! — cieszy się Buszkowa — Ale pani Ola to nie jest taka normalna, jak wy?

Nie. Pani magister wykryła u niej zboczenie słuchowe.

— Słuchowe? — śmieje się prelegentka — To ja się tu czegoś nauczę!

— Ola ma bardzo wyczulony słuch, specjalnie na płacz. Ostatnią koszulę by oddała, serce ma złote, ale nie może znieść czyichś łez. Jak tylko jakiś konsument płacze, jak to czasem po wódce, pani Ola zaczyna go bić. Że ty nie wiem jak się zasłaniał, dostanie. Nawet gdy konsument płacze bardzo cicho a pani Ola jest w kuchni, usłyszy. Tak jest na te sprawy wyczulona. Potem przeprasza, klęka przed nim, bo serce ma złote i wszystko chciałaby naprawić. Daje takiemu czasem cały utarg. Ostatnio pobiła gościa zagranicznego, który montował tu koparkę i pani kierowniczka postawiła na nią krechę. Ale on... całowała panią kierowniczkę po nogach, więc pani kierowniczka jeszcze się zastanawia.

— Ty też całowałaś panią kierowniczkę po nogach?

— Tylko myślowo, a normalnie to tylko w rękę.

— Boisz się pani kierowniczki?

— E, nie. Jak pani kierowniczce ulży, to potem już nie ma strachu.

Buszkową ogarnia rozbawienie. Kiedy patrzy na solenne skupienie Romy, na jej gotowość do odpowiedzi na najtrudniejsze nawet pytanie, wstrząsa nią chichot. Nadaje temu rozbawieniu wygląd pogodnej życzliwości i pyta:

— Wracając do pani psycholog, odniosłaś wrażenie, że was lubi a nawet chwali. Nieprawdaż?

— Oczywiście. Cieszyła się, że nas zbadała. Mówiła, że cały świat zwariował i już tylko pospolitość żyje zdrowo.

— Wiesz, co mnie przeraża? — Buszkowa śmieje się już otwarcie — Że ty wcale nie próbujesz kłamać. To jest nienaturalne. Czy ty mnie rozumiesz?

— We wszystkim, co pani mówi potrafię się orientować.

— Dlaczego więc nie kłamiesz?

— Kłamstwo by pogorszyło moją sytuację.

— Więc ty rozumiesz swoją sytuację? Załóżmy, że wycofam skargę. Cóż to zmieni? Patrząc na ciebie człowiek ma ochotę pisać. Wkrótce znów będzie pełno uwag. Jednak... mam chęć ci darować. Czuję, że znów złamię moralność przez zbytnie miłosierdzie. Dlaczego ja jestem taka? Dlaczego nie chce mi się być bardziej stanowczą? Ot, gardzę i nie wybaczę. Przecież to uczciwsze niż: czuję odrazę a okazuję szlachetność. Nie odczuwam zadowolenia z powodu tej przeczuwanej wielkoduszności. Pobłażliwość jest przykra. Jest mi nieprzyjemnie, kiedy jestem wyrozumiała. Nie lubię ani siebie, ani tego, komu wybaczam. Myślę, że mogłabym kochać kogoś takiego, komu nie mogę okazać łaski, widząc jak on cierpi. Widzisz, jestem takim typem grzesznika, który żałuje dobrych uczynków. Dlaczego to tak jest?

— Bo pani jest szlachetna — interpretuje Roma. Widząc okrągłe ze zdumienia oczy Buszkowej, dodaje: — Żeby pani nie wiem co mówiła, to i tak wszyscy będą panią lubić.

Buszkowa kiwa głową z rozgoryczeniem. Musiała to już słyszeć wiele razy

— Za wady, dziecko, mnie kochają, za wady — mówi ze smutkiem — Czasem bym wolała, żeby mnie nienawidzili. Dlaczego ja jestem taka? Dlaczego nie jestem taka, jak inni?

— Pani jest przykro, bo pani się za często z innymi porównuje.

— Wiesz, jaką ty dziwną rzecz powiedziałaś? — mówi prelegentka blednąc.

— E, tam...

— To jak żyć?

— A nie porównywać się. Jest do kogo.

Buszkowa kamienieje ze zgrozy. W tym momencie w rekwizytorni straszliwie zaszeleściło. Właściwie to przez cały czas nie było zupełnie cicho. Dało się słyszeć jakieś warczenie, mlaskanie, potem jakby darcie papieru. Nakładało się na to buczenie rur wodociągowych i echa toczącej się obok imprezy. Buszkowa poderwała się i zza leżącej mównicy wyciągnęła starszego człowieka w bieliźnie

— Dlaczego pan tu śpi i podsłuchuje?! — pyta groźnie.

Okazuje się, że jest to kurtyniarz. Jest właściwie w pracy, a że spektakl za ścianą nie wymaga częstego podnoszenia i opuszczania kurtyny, więc się zdrzemnął. Prelegentka wyrzuca go za drzwi „gdyż miejsce kurtyniarza jest przy kurtynie, a nie w rekwizytorni"

— Nie ma się do kogo porównywać?! krzyczy — Daj no ten dokument patologii społecznej!

— Ma go pani.

Buszkowa odsuwa nogą zakurzonego gołąbka pokoju, podnosi książkę zażaleń i zaczyna ją kartkować.

— Sporo nazwisk. O, znajome niektóre... Sztygar wnioskuje o zmianę kierownictwa. To pani kierowniczka może już pakować walizki. Widzisz, są ludzie stanowczy, bezkompromisowi, pozbawieni tej ckliwej, wylizanej tolerancyjności. Nie ma się do kogo porównywać? Wiesz, co powinnam zrobić? — prelegentka bierze Romę za

Rys. Janusz Szymański-Glanc

rękę i ciągnie ją do drzwi prowadzących na scenę.

— Wiesz, co powinnam zrobić? Powinnam wywlec cię tam na scenę, pokazać ludziom i powiedzieć: „Czy wiecie, czego ona ode mnie żąda? Żebym cofnęła swoje słowo, podeptała swoją godność, żebym stwierdziła, że panienka szanuje ludzi, jest czysta, uprzejma i nie oszukuje. Żebym na piśmie stwierdziła, że szkaluję pełną zasług pracowniczkę?

Prelegentka łapie za klamkę. Za drzwiami słychać oklaski. Roma przeraziła się i wyrwała. Buszkowa patrzy nienawistnie. Reflektuje się jednak, łagodnieje, odczekuje chwilę, żeby zupełnie się uspokoić i mówi serdecznie:

— Usiądź, dlaczego stoisz?

— Dziękuję, pani lektor — szepcze Roma wzruszona.

Prelegentka prowadzi dziewczynę do leżącej koło drzwi mównicy, sadza ją na niej. Sama siada niżej na skrzynce po „Coca-Coli"

— Nie zamierzałam cię skompromitować — Mówi z pobłażaniem — Chyba nawet przez chwilę tak nie pomyślałaś. To by było niedopuszczalne. Nie po ludzku. Człowiekowi trzeba pomóc, trzeba go zrozumieć. Nawet istocie najmarniejszej bo... bo inaczej nie jest się człowiekiem. Daj tę książkę.

— Już pani dałam.

— A tak, tak. — rozgląda się Buszkowa. Książka leży przy skrzydłach huzarskich — Zaraz wycofam ten wpis... To te same...?

— Co?

— Majtki.

Lektorka siedzi niżej. Patrzy Romie pod spódnicę.

— Te?

— No tak.

— Te same.

Buszkowa zamyka książkę.

— Wiesz, co powinnam zrobić? Powinnam kazać ci je zdjąć i podrzeć. Prawie już zapomniałam, a tu widzę i wszystko mi się przypomina... Taką karę to byś odczuła Ale co ty robisz? Ja tak tylko... Nie zdejmuj. Dziecko, ty najwyraźniej nie orientujesz się z kim rozmawiasz.

Prelegentka otwiera książkę i zaczyna pisać.

— Masz dziecko — mówi pisząc — duszę lokajską. Gardzisz sobą, więc upokarzasz innych. Lokaj zawsze o tym marzy, ale tylko nieliczni pozwalają sobie na to. Nawet heroiczne... — uśmiecha się do Romy, chowając książkę zażaleń do swojej torebki.

— A książka? — pyta Roma w panice.

— Pójdziesz dziecko na pocztę, wpłacisz sto złotych na Centrum Zdrowia Dziecka a dowód nadania tu przyniesiesz.

— A czyje nazwisko podać przy wpłacie? — pyta uradowana kelnerka Buszkowa walcząc chwilę z pokusą.

No... Swoje... Swoje.

Żółta ciężarówka jedzie do następnego autora skargi.

Nie wyspanemu kierowcy steyra wróciła rzeźkość. Prowadzi pewnie, nonszalancko, gestykuluje.

— Buszkowa jest fajna — powiada — Nagada, bo musi nagadać, ale do niej można ze wszystkim. Ludzie ją wolą od księdza. Ona jest taka... taka łaskawa.

— Napisała, że się potknęłam a nie wypięłam.

— Jak ona coś zasunie... — śmieje się kierowca. — Ile ci jeszcze zostało?

— Zażaleń? Osiem

— No, to trzeba prędzej, chyba, że chcesz iść do kopalni za cztery tysiące.

Roześmieli się.

„Nie jestem donosicielem, ale nie mogę taić, że pomiędzy godziną 15 a 21, żadna kelnerka do mnie nie podeszła. W szczególnym stopniu dotyczy to kelnerki nr 8. Pytam również, dlaczego do lokalu wpuszcza się żebrzących? Jeżeli na moje spostrzeżenia nie dostanę zadowalających wyjaśnień, zwrócę się gdzie indziej".

Zgorzknialec mieszka w domku jednorodzinnym. Na płocie wisi tabliczka „Zły Pies". Roma dzwoni. Słychać dziecięcy głos: „Mamusiu, Jehowy idą!". Przez okno wygląda mężczyzna w bonżurce.

— Czego? Wsparcia moralnego nie potrzebujemy.

— Ja w sprawie skargi, którą pan napisał...

Mężczyzna rozpromienia się. Podbiega do furtki. Szalik mu upadł, podnosi, szuka kluczy, otwiera, wprowadza Romę.

— Czekaliśmy na panią — mówi uszczęśliwiony.

Roma trochę nie rozumie, opiera się, ale gospodarz serdecznie uspokaja.

— Boi się pani psa? To tabliczka po starym właścicielu, ale nie zdejmujemy, bo tylu różnych się teraz kręci. Ankieterzy, harcerze po skórki, reporterzy, och, przepraszam. Nagle staliśmy się ważni. Nie mogą się obyć bez naszego zdania. Co sądzimy o budowie, czy lubimy przyjezdnych, kto ma wyższą pozycję w rodzinie, ja czy żona. A to nie bloki. Do każdego do furtki trzeba latać. Chyba zamek magnetyczny założę.

Prowadzi Romę przez kuchnię do pokoju. Żona gospodarza uśmiecha się nieprzyjemnie. Przeprasza, że ubrana jest po domowemu. Przebiera się zaraz na beżowo, zakłada maleńki fartuszek i zajmuje się kawą.

— Żona kawę zaparzy. Prawdziwą — zapowiada gospodarz. Sadza Romę przy stole. Sam też siada.

— Patrzy pani, jak to u nas. Coś się buduje...

— Proszę?

— Mówię: coś się robi, coś się ruszyło.

— Trochę się robi.

— Ale jak się robi?

— ?

— Jeszcze nie zawsze robi się, jak się robić powinno.

— Tak?

— Zazwyczaj robi się nie tak, jak trzeba — naciera gospodarz.

— Jasne — Roma odpowiada coraz mniej pewnie. Zaczyna brać to do siebie.

— Robi się, aby zbyć.

— Jak to u nas.

— U nas zawsze tak.

— Ale coś się buduje... — zaczyna Roma ostrożnie.

— A bezwzględnie, bezwzględnie — wystraszył się gospodarz.

— Coś już widać.

— Pewnie, że już coś się widzi... Ale nie same dobre rzeczy.

— Złe też.

— Buduje się, żeby budować.

— Pewnie.

— Jeszcze długo nie będzie, jak być powinno.

— Ale jest lepiej — łagodzi Roma.

— Bezwzględnie, że lepiej.

— Ludzie to widzą.

— Widzi się to i owo... — zaczyna znowu gospodarz.

— Widzi się, żeby widzieć — kończy Roma.

Gospodarz stropił się. Na szczęście żona wnosi kawę, dostarczając następnego tematu.

— Przepraszam, że po turecku — kryguje się gospodarz.

— Ja zawsze po turecku.

— Co pani powie? U kuzyna był jeden z telewizji. On tylko gorzką. Kawę gorzką i herbatę też gorzką. Ten wasz Hamilton, to ale skórkojad. Słówka jak na budowie... Pani pewnie zmęczona. Taka droga... Momencik.

Biegnie do kuchni. Szepcze z żoną.

— Czytamy „Kulturę" — mówi głośno — Ja czytam, żona czyta. Każdy numer.

Przynosi stołeczek.

— Niech pani oprze nogi. Krzesła u nas wysokie. Ja lubię na stołeczku, żona też lubi. Mnie też — mówi ostro w stronę kuchni. Prawie przemocą wstawia Romie stołek pod nogi. Zaraz przybiega żona i jemu też wstawia.

— Będzie pani wygodniej czytać — kładzie na stole czarny zeszycik. — Tu mam wszystko. Dzień po dniu.

— Co ja mam czytać?

— Co? Polecam, na przykład, o dostawie mleka. Strona osiemnaście. Jak nastali tu górnicy, to zażądali, żeby im mleko przynosić pod drzwi. U nas takich wygód nigdy się nie robiło. Burmistrz... u nas zostało, że mówi się burmistrz. Pisałem o tym pani...

— Pisał pan?

— Chyba tak, mam gdzieś kopię. A to później. Więc burmistrz powołał jednoosobowy referat do spraw roznoszenia mleka. Referent nie wiedział jak to zorganizować a wstydził się spytać, żeby nie wyjść na głupiego. Nie wypadało. W końcu pojechał do Łodzi i przyjrzał się incognito, jak to tam jest zorganizowane. Ale powstał problem. Zostawić mleko na ulicy, to rozkradną. Etatu na stróża województwo nie uznało. I od tej chwili magistrat utracił panowanie nad sprawą. Mleka nadal się nie roznosi. Pytam więc panią, czy tacy ludzie mają nami rządzić? Tu powinien nastać ktoś nowy, miejscowy a jednocześnie na tyle światowy, żeby się znać na kulturze. Niechby to był człowiek skromny, umiejący przełamać zastane reguły gry i... uderzyć. Człowiek, którego by to dużo kosztowało ale on by postąpił, jak trzeba. Tylko on jeden wie, ile go to kosztuje, ale on się przełamie i zawiadomi. Taki człowiek jest nam potrzebny. Niech pani to wszystko opisze i opublikuje, a wtedy...

Od dłuższego czasu żona daje mu znaki, żeby przestał, ponieważ zaszło tu pewne nieporozumienie. Podczas, gdy on mówił weszła do kuchni wieśniaczka w chuście i z koszykami i coś tłumaczyła. Pokazywała na Romę, podnosiła spódnicę powoływała się na jakiś papier i pukała się w czoło. Gdy pani domu pojęła wreszcie, o co babie chodzi, próbuje delikatnie przerwać mężowi.

— Słuchaj kochany, ta pani...

— Nie przeszkadzaj, wiem — zwracając się do Romy oświadcza: — Wtedy ja się ujawnię!

— Wydrukować? — bełkocze Roma.

— Czarno na białym. I wtedy ja...

— Karolu — zaczyna subtelnie żona

— Ta pani...

— Jest zmęczona. Wiem.

— Ta pani pracuje... — mówi żona z delikatnym naciskiem — Jest zatrudniona w serwisie kelnerskim w naszej restauracji „Śródmiejska".

— W gospodzie? — mamrocze gospodarz bezradnie.

(c.d.n.)

U PRZYJACIÓŁ

W Lipsku zakończył się przed kilku dniami XIX Międzynarodowy Festiwal Filmów Dokumentalnych. W konkursie wraz z zestawem informacyjnym brało udział 160 filmów. Hasło Festiwalu brzmiało: „Filmy świata w służbie pokoju." Zgodnie z hasłem przewodnim prezentowane filmy poruszały najbardziej palące problemy polityczne i społeczne współczesnego świata. Dominował temat walki z imperializmem i kolonializmem. W wielu utworach przewijała się sprawa tragicznego losu narodu palestyńskiego, dramat Libanu i walki ludu chilijskiego.

Grand Prix — „Złotego Gołębia" zdobył w Lipsku film japoński „Żyć, aby zaświadczyć". Pomysł tego filmu miał niecodzienny początek. Do rąk reżysera trafił tomik wierszy dziewczyny, która opowiada w nim o swoim życiu. W momencie, gdy w Hiroszimie nastąpił wybuch bomby atomowej dziewczyna znajdowała się w łonie matki. Była więc narażona na chorobę popromienną. Podczas studiów zakochała się, ale chłopak chociaż także ją kochał, odszedł, kiedy dowiedział się, że jest „stamtąd". Bał się, że ich dzieci mogą odziedziczyć straszną chorobę. Obecnie dziewczyna jest nauczycielką w szkole dla głuchoniemych. Wyszła za mąż. Ma dwoje zdrowych dzieci. Ciągle jednak boi się, czy przeszłość nie da znać o sobie. Nie miała ochoty wystąpić w filmie. Przekonał ją reżyser. Najważniejszym argumentem był ten, że przykład jej trudnego i pełnego niepokoju życia, ale jednak godności i pracy, może być cennym światłem dla ludzi dotkniętych bezpośrednio tragedią Hiroszimy.

Laureatką drugiego „Złotego Gołębia" została Sabine Katins z NRD za reportaż zrealizowany w Namibii. Tytuł reportażu „Kto się boi czarnego luda?". Utwór nawiązuje do obecnej sytuacji politycznej w Namibii. Autorce udało się utrwalić na taśmie sceny z życia kolonizatorów, byłych emigrantów niemieckich i czarnej, wcale nie milczącej już i niewolniczo poddanej większości. Większość ta coraz odważniej i zdecydowaniej staje do walki o swoje prawa i znośną ludzką egzystencję.

„Srebrne Gołębie" przyznano kilku filmom. Między innymi dwu doskonałym reportażom z wielkich budów — radzieckiemu „Droga do tunelu" reżysera A. Kowala i M. Mamedowa oraz niemieckiemu — „Zwykły dzień wielkiej przygody" — reżysera Kurta Tetzlafa.

Tą samą nagrodą uhonorowano także wstrząsający społeczny reportaż kolumbijski w reżyserii Ciro Duren pt. „Dzieci ulicy". Film ten ukazuje nędzę małych mieszkańców sławnych slumsów otaczających Bogotę. Również „Srebrnego Gołębia" zdobył drugi film NRD. Tym razem tematyka filmowa związana jest ze wsią. Rejestruje on przemiany zachodzące we wsi; nie tylko ekonomiczne i społeczne, ale także przemiany zachodzące w psychice mieszkańców wsi. Film nosi tytuł „Szerokie pole".

Także kinematografia polska może pochwalić się sukcesem. W Lipsku nagrodę „Srebrnego Gołębia" zdobył polski pełnometrażowy reportaż pt. „Angola". Jego twórcy: Henryk Jantos i Antoni Staśkiewicz przy współpracy Ryszarda Kapuścińskiego, stworzyli dzieło, które posiada wiele najlepszych cech polskiego dokumentu.

Nagrodę specjalną Festiwalu jury przyznało żyjącemu na wygnaniu reżyserowi chilijskiemu Patricio Guzmanowi, autorowi filmu „Bitwa o Chile — część druga". Film przypomina dramatyczne wydarzenia poprzedzające przewrót faszystowski w jego ojczyźnie.

Oprócz nagród, jury na Festiwalu rozdało także dyplomy honorowe. Otrzymali je Jadwiga Zajiček za film „Marzenia i marzenia", oraz Janusz Kidawa za żart filmowy „Człowiek z cyfrą".

Festiwal w Lipsku już od dawna jest miejscem, z którego prezentują swój dorobek młode kinematografie Trzeciego Świata. Tak było również i w tym roku. Bardzo ciekawe propozycje filmowe zaprezentowali twórcy z Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej.

Swojego rodzaju sensację wzbudziły filmy hiszpańskie. Były to tzw. filmy „podziemne". Realizowano je w okresie rządów Franco. Powstały wbrew zakazowi cenzury i stanowią ważny dokument walki narodu hiszpańskiego o prawo społeczne i swobody demokratyczne. Na festiwalu filmy te prezentował wybitny reżyser członek zespołu postępowych dokumentalistów, Juan Antonio Barden: autor słynnych już w świecie filbów: „Śmierć rowerzysty" i „Ulicy Głównej".

EWG

POLOWANIE NA CZAROWNICE...

Na Zachodzie dużego rozgłosu nabiera ostatnio sprawa tajnych ankiet wypełnianych przez urzędników instytucji EWG. Wielu obserwatorom przypomina to procedurę, którą wprowadził swego czasu, organizując nagonkę na komunistów, lider amerykańskich „wściekłych" — senator MacCarthy. Zwraca uwagę fakt, iż większość organów prasy zachodniej okazała w tej sprawie uderzającą wstrzemięźliwość i nie ulega wątpliwości, że teraz będą się one starały pomniejszyć jej znaczenie.

Chodzi tu o polityczno-policyjne kontrolowanie personelu Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, której członkiem jest także Francja. Kontrola ta obejmuje ogółem 7.000 pracowników, zatrudnionych w brukselskiej centrali EWG, a w tej liczbie 1.500 Francuzów. Redakcja „L'Humanité" ma wzór wariantu tej tajnej ankiety, przeznaczonej dla brytyjskiego, duńskiego i irlandzkiego personelu EWG, sprecyzowanej w duchu jak najbardziej klasycznego maccartyzmu.

Po szeregu drobiazgowych pytań dotyczących członków rodziny ankietowanego, jego pracy, przeprowadzek, wyjazdów i miejsc pobytu w ciągu ostatnich 10 lat, urzędnika EWG prosi się o podanie nazwisk dwóch osób, które „dobrze zna i z którymi utrzymuje kontakty towarzyskie w ciągu ostatnich pięciu lat".

W drugiej części ankiety znajdują się takie pytania:

„Czy ma pan krewnych, jak również krewnych ze strony żony, którzy mieszkają lub mieszkali w kraju, gdzie władza spoczywa w rękach komunistów? Proszę podać nazwy tych krajów, powody wyjazdów, daty".

„Czy był pan członkiem lub sympatykiem organizacji komunistycznej?" Do tego pytania, widać dla „symetrii", dodaje się: „lub faszystowskiej", co należy uznać za wypad bardzo niewybredny.

„Czy miał pan kontakty z grupą lub ruchem, związanymi z organizacją komunistyczną lub z nią sympatyzujące?"

„Czy pozostawał pan w bliskich stosunkach z osobami, które są komunistami lub nimi były?"

Pytania idą w parze z niedwuznacznym wezwaniem do donosów. Wskazuje się, na przykład, że jeśli odpowiedź na pytanie (przede wszystkim tyczące się stosunków z kimś, kto był komunistą, lub jest nim teraz) jest twierdzące, to urzędnik powinien „podać wszystkie szczegóły na stronie 6-tej".

Jak wynika z oświadczenia oficjalnego przedstawiciela Komisji Wspólnoty Europejskiej (będącej głównym organem wykonawczym EWG), złożonego w odpowiedzi na interpelację przedstawicieli opinii publicznej, kiedy te fakty stały się już tajemnicą poliszynela, kontroli podlegają pracownicy wszystkich narodowości zatrudnieni w jednej z trzech organizacji Wspólnego Rynku, a mianowicie: w Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej, Europejskim Zjednoczeniu Węgla i Stali oraz w Euratomie.

Potwierdza się również i ten fakt, że kontrolę przeprowadza się „przy współpracy" z narodowymi tajnymi służbami bezpieczeństwa członkowskich krajów Wspólnego Rynku.

Jest jeszcze jedna, bardzo istotna, okoliczność. Służba prowadząca tę policyjną kontrolę, podlega Komisji Brukselskiej, a ściślej mówiąc — jej przewodniczącemu. Zgodnie z organizacyjną strukturą komisji, „biuro bezpieczeństwa" pozostaje pod jego bezpośrednią kontrolą. Warto wiedzieć w związku z tym, że przewodniczącym komisji jest nie kto inny, tylko Francois Ortoli, jeden z liderów UDR (Unia Demokratów na Rzecz Republiki — partia większości rządowej — red.) i, oczywiście, utrzymuje on ścisły kontakt z władzami francuskimi. A zatem te ostatnie nie mogły nie wiedzieć o antydemokratycznej działalności komisji i jej przewodniczącego. Przypomnijmy, że jeszcze w 1970 roku ujawniono fakty podsłuchiwania rozmów telefonicznych w gmachu komisji w Brukseli. Do dnia dzisiejszego siedmiu tysiącom urzędników zatrudnionych w tym budynku nie udzielono gwarancji, że podobne praktyki już się więcej nie powtórzą.

Jak zabezpiecza się obywateli przed zamachem wewnętrznej służby informacyjnej EWG na ich życie osobiste? Wątpliwe, żeby dali im takie gwarancje: francuski minister spraw wewnętrznych czy Ortoli, którzy wymieniają informacje o francuskich urzędnikach Wspólnego Rynku, czerpane z kartotek swoich tajnych służb informacyjnych. I czy można uwierzyć, żeby francuski premier — pisze publicysta „L'Humanité" nie wiedział o tych praktykach? Wszak przez długi czas był zastępcą przewodniczącego Komisji Wspólnoty Europejskiej.

Sprawa, jak widać, jest bardzo poważna. Wskazuje ona jeszcze raz, ile racji mieli komuniści twierdząc, iż cały szum podniesiony wokół zamierzonych w 1978 roku wyborów do Europejskiego Parlamentu drogą ogólnego głosowania nie jest niczym innym, tylko swego rodzaju demokratycznym alibi dla usprawiedliwienia antydemokratycznej orientacji i antydemokratycznych metod.

Francuscy posłowie komunistyczni zwrócili się do Europejskiego Parlamentu z pisemnym oświadczeniem o naruszeniu wolności osobistej i maccartowskich metodach, stosowanych w urzędach EWG. Delegat Francuskiej Partii Komunistycznej złożył wizytę przewodniczącemu Zgromadzenia Narodowego, Edgarowi Faure, i szczegółowo poinformował go o skandalu z „polowaniem na czarownice", prowadzonym w instytucjach EWG. Po zapoznaniu się z treścią ankiety przeznaczonej dla personelu tych urzędów, Edgar Faure przyznał, iż podobne fakty stwarzają niebezpieczną sytuację i zgodził się z żądaniem posłów-komunistów o włączenie tej sprawy do porządku dziennego posiedzenia specjalnej komisji Zgromadzenia Narodowego do spraw Swobód Obywatelskich.

Ci, którzy na wysokim szczeblu wyrazili zgodę na zatwierdzenie tej inkwizycyjnej procedury, odmawiając teraz wyjaśnień w tej sprawie, przyznają, chcąc nie chcąc, że ugrzęźli w nader kłopotliwej sytuacji: jakież dowody znajdą, żeby usprawiedliwić to „polowanie na czarownice"? Zresztą milczą i inni. Po krótkiej informacji w radio, sprecyzowanej w tonie beznamiętnym i z wyraźną intencją zbagatelizowania ujawnionych faktów, do ataku ruszyły pozostałe burżuazyjne środki masowego przekazu. Gazeta „Figaro" wyraziła w jednym zdaniu cały sens idei, którą wypada im teraz rozpowszechniać: „Komunistyczne dokumenty są niepoważne". Tymczasem na własne oczy można się przekonać, iż w całej zachodniej Europie legalizuje się w instytucjach nagonki na ludzi o poglądach lewicowych, jak na przykład w Zachodnich Niemczech. I czyżby to wszystko było „niepoważne"? Fakty te można lekceważyć, pomijać milczeniem w telewizji i radiu, które pracują zgodnie z dyrektywą: kiedy chodzi o swobody obywatelskie — oburzać się i krzyczeć tylko „w określonym kierunku". Natomiast na pierwszych stronach gazet rozważa się szeroko tak niezwykle „ważną sprawę państwową" jak poszukiwanie i ujęcie herszta bandy, która w sposób wysoce artystyczny ograbiła bank w Nicei...

W akcie końcowym konferencji w Helsinkach mówi się, że „wszystkie uczestniczące w niej państwa zobowiązują się do przestrzegania praw człowieka i podstawowych swobód, włącznie z wolnością myśli, sumienia, religii i przekonań". W rozumieniu przywódców Wspólnego Rynku swobody te należy znieść. Mają oni zamiar rozszerzyć na całą „małą Europę", zachodnioniemiecką praktykę zakazów wykonywania zawodu przez ludzi „nieprawomyślnych".

W ostatnim czasie — pisze na ten temat publicysta mediolańskiego „Corriere Della Sera" — w wielu krajach zachodniej Europy obserwuje się aktywizację sił reakcyjnych i konserwatywnych, a pracownikom różnych organów Wspólnego Rynku wręcza się nieoczekiwanie specjalne 6-stronicowe ankiety. Ci, którzy otrzymali takie ankiety, muszą je po wypełnieniu przesyłać do generalnej dyrekcji „służby bezpieczeństwa" EWG. Całkiem zrozumiałe zaniepokojenie urzędników EWG wzbudził nie tylko adresat, lecz także sama treść ankiety. Za pytaniami, sformułowanymi na obraz i podobieństwo amerykańskich ankiet okresu rozpasania maccartyzmu, kryje się zamiar głębokiego sondażu politycznych zapatrywań ankietowanych.

Wśród pracowników EWG, którzy w ogóle nie sympatyzują z siłami lewicowymi, a właśnie ich — jak nietrudno się domyśleć — w tym aparacie pracuje znaczna większość, ankieta wzbudziła prawdziwą panikę. Są zaniepokojeni przede wszystkim tym, żeby wśród ich znajomych, czy przyjaciół w pracy nie okazał się ktoś komunistą. Ale jak rozpoznać „czerwonego", jeśli, na przykład, w kioskach gazetowych usytuowanych przy urzędach Wspólnego Rynku, sprzedaje się teraz dwa razy więcej egzemplarzy „Unity", organu włoskich komunistów, niż dwa—trzy lata temu, a czytają ją, jakby można sądzić na pierwszy rzut oka, sami „prawomyślni"?

Opowiada się, że pewien nie na żarty przerażony urzędnik, Duńczyk, który kilka lat temu był w Polsce, przed wypełnieniem ankiety zatelefonował do „służby bezpieczeństwa" EWG i przedstawił swój „dramatyczny przypadek". Otrzymana odpowiedź mówi sama za siebie. „Niech się pan nie denerwuje, proszę napisać, że był pan w Polsce jako turysta — powiedziano biedaczkowi. — Ale jeżeli ma pan zamiar w przyszłości pojechać do Polski jeszcze raz, to — niech pan to sobie dobrze zapamięta — powinien pan przyjść najpierw do nas na konsultację. Damy panu dokładne instrukcje, jak należy się zachować podróżując po krajach wschodniej Europy".

Okazało się teraz, że każdy pracownik EWG, poza zwykłym dossier, przechowywanym w oddziale kadr, ma jeszcze jedno dossier — tzw. „akta bezpieczeństwa". Te ostatnie stale się uzupełnia i można w nich, na przykład, przeczytać: „Pracownik A. C. uczęszcza na lekcje języka rosyjskiego: należy go bezwzględnie poddać szczególnej obserwacji".

JERZY CZECH

ZAINTERESOWANIE PROPOZYCJĄ NOWEGO UKŁADU
ZNÓW ODBIORCY KONTRA PRODUCENCI
NOVUM W ŻYCIU FRANCJI

Obradujący nad projektami planów społeczno-gospodarczych na lata 1976—80 i 1977 roku **Komitet Centralny PZPR wysłuchał również sprawozdania Edwarda Gierka z wizyty partyjno-państwowej w Związku Radzieckim oraz przebiegu narady Doradczego Komitetu Politycznego Państw-Stron Układu Warszawskiego.** W przyjętej uchwale stwierdza się, że przebieg i rezultaty rozmów naszej delegacji w ZSRR **„stały się nowym dobitnym potwierdzeniem ideowej jedności obu partii, niewzruszonego sojuszu obu państw i wiernej przyjaźni obu narodów"** oraz podkreśla, że podjęte na bukareszteńskiej naradzie nowe inicjatywy **„stanowią doniosły program pełnego wcielania w życie zasad i postanowień Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie".**

Nowe propozycje państw wspólnoty socjalistycznej (omawiane przez nas na tym miejscu przed tygodniem) znajdują się nadal w centrum zainteresowania. Nie ma wprawdzie jeszcze oficjalnych reakcji kół politycznych na Zachodzie, ale agencje i dzienniki poświęcają im wiele uwagi. Agencja AFP pisze na przykład, że projekt układu na temat niestosowania broni jądrowej przeciwko uczestnikom helsińskiej konferencji jest „logicznym krokiem w całym ciągu inicjatyw, podejmowanych od 1954 roku przez ZSRR i jego partnerów dla zapewnienia Europie bezpieczeństwa dzięki zawarciu układów o nieagresji". Zauważa się przy tym, że projekt ten jest adresowany konkretnie do 35 państw, co jest „nowym aspektem" propozycji.

Niektóre agencje powątpiewają, czy inicjatywa państw Układu Warszawskiego spotka się z przychylnym oddźwiękiem u głównych adresatów, ponieważ chcieliby oni opierać równowagę sił w Europie na arsenale nuklearnym. Nie podejmując w tym miejscu polemiki co do zasadności takiego założenia i nie przypominając w szczegółach, jakie niebezpieczeństwa niesie utrzymywanie owego arsenału — powiedzmy, że **również idea zwołania ogólnoeuropejskiej konferencji bezpieczeństwa z trudem torowała sobie drogę i budziła różne „zastrzeżenia". A przecież konferencja stała się faktem i zakończyła sukcesem.** Zawarcie układu, o którym mowa, właśnie dlatego, że nasz kontynent jest największym arsenałem nowoczesnej broni, byłoby wielkim aktem pokoju i oddaliło niebezpieczeństwo wojny nuklearnej. Jesteśmy przekonani, że nadrzędny cel tego projektu układu będzie pozyskiwał mu zwolenników.

Zmieńmy teraz temat, aby skomentować **kolejne spotkanie szefów państw i rządów krajów EWG, które odbyło się w Hadze.** Spotkania te odbywają się okresowo i zwane są posiedzeniami tzw. Rady Europejskiej. Tym razem jednym z głównych tematów obrad było zajęcie stanowiska przez „dziewiątkę" wobec krajów Trzeciego Świata, eksportujących ropę.

W tym miejscu cofnijmy się w czasie o dwa tygodnie, aby przypomnieć, że **w Wiedniu obradowała Komisja Gospodarcza Organizacji Państw Eksportujących Ropę Naftową (OPEC).** Dyskutowano tam sprawę ceny. Zdaniem eksporterów ropy — **jej cena jest zbyt niska** i nie uwzględnia zwyżki na wyroby przemysłowe, kupowane przez kraje OPEC. Podrożały one tylko w ciągu jednego roku o ok. 40 proc., podczas gdy cena ropy jest niezmienna od października 1975 roku. Komisja Gospodarcza nie podjęła wiążącej decyzji, zapowiadając kolejną dyskusję w połowie grudnia.

I teraz powróćmy do spotkania haskiego. Jego uczestnicy orzekli, że **nie będą prowadzili dialogu z producentami ropy, a jeśli ci podniosą cenę — ograniczą pomoc dla krajów rozwijających się.** A więc fronty producentów i odbiorców ropy znów się ostro starły.

Wszystko to razem potwierdza potrzebę ustanowienia nowego ładu ekonomicznego w świecie, który to temat jest także dyskutowany na sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ.

Spotkanie w Hadze zasługuje na uwagę jeszcze dlatego, że rozwinęło kontrowersje wśród jego uczestników. W komentarzach zachodnich podkreśla się, że RFN coraz częściej próbuje narzucić swój punkt widzenia na różne problemy.

Spośród licznych tematów tygodnia wybierzmy jeszcze jeden — **tym razem odnoszący się do Francji.**

W wewnętrznym życiu tego kraju novum jest przekształcenie się gaullistowskiej partii UDR w „nowy masowy ruch polityczny", wybranie Jacquesa Chiraca prezydentem tego ruchu oraz ogłoszenie przezeń manifestu.

Do tej pory, a więc w ciągu 18 lat istnienia ruchu gaullistów, za jego przywódcę zawsze uważano prezydenta państwa — de Gaulle'a, a potem Pompidou. Obecny prezydent Francji — Valery Giscard d'Estaing nigdy nie był członkiem UDR. Przy okazji jego wyboru pisaliśmy, że oznacza to zmierzch gaullizmu. Teraz jednak okazuje się, iż **jego odbudowy podjął się zdymisjonowany premier który co więcej, jak podkreślają komentatorzy zachodni, ma ambicję objęcia kiedyś urzędu szefa państwa.** Wprowadza to nowy element do sytuacji politycznej Francji. Tym bardziej, że wspomniany manifest ocenia, iż obecnie „Francja waha się", a „wszystkie pewniki zdają się ulegać zatarciu". Dlatego — czytamy dalej — „postanowiliśmy zjednoczyć się, aby bronić zasadniczych wartości". **Jest to już więc platforma polityczna, która może zwiększać dystans nowego ruchu od obozu rządowego.**

W. SŁAWSKI

POWRACAMY DO TEMATU

POŚLIZG

W sierpniu tego roku zainteresowałam się przeprowadzką **Zakładów Przemysłu Odzieżowego im. dr Adama Próchnika.** Wiadomo, że obecnie fabryka ta mieści się przy ul. H. Sienkiewicza, a nowy zakład buduje się przy ulicy Milionowej. Jeden z dyrektorów przedsiębiorstwa budującego nowe pomieszczenia dla „Próchnika" zobowiązał się w telewizyjnym programie „Wszystko za wszystko" — zobowiązał się wobec milionowej widowni telewizyjnej — że fabryka będzie gotowa w... maju 1976 roku.

W sierpniu 1976 roku mówiło się, że **„Próchnik"** otrzyma nowe pomieszczenia **30 listopada 1976 roku.** Wówczas to napisałam na zakończenie:

— „Panowie — powiedziałam — przychodzę 30 listopada z butelką szampana i albo ją rozbijemy na progu nowej fabryki, albo...

— Na czyjej głowie? — zgodnie zapytali obaj panowie.

— No, nie. Po prostu schowamy ją do lodówki.

— Nie będzie takiej potrzeby! — znów obaj panowie byli zadziwiająco zgodni".

Owi panowie, to inżynier **Krzysztof Fidala,** który jest przedstawicielem głównego wykonawcy, czyli ŁPBP nr 1, i **Jan Sokal** — naczelny dyrektor ZPO im. dr A. Próchnika.

Jest 30 listopada 1976 roku. Szampana nie kupiłam i dobrze zrobiłam. Zresztą nikt się go ode mnie nie domagał. Obaj panowie mieli zupełnie inne zmartwienia.

Już na pierwszy rzut oka widać, że termin 30 listopada nie został jednak dotrzymany. Praca w toku. Zrobiono jednak przez ten czas wiele i piętra budynku przemysłowego, poszczególne hale produkcyjne są gotowe do przejmowania przez specjalistów **„Próchnika",** którzy mogliby tam rozpocząć montaż maszyn.

— Spotkaliśmy się zgodnie z umową 30 listopada i pytam — dlaczego prace nie są ukończone?

Krzysztof Fidala: — **Zaraz, zaraz. Czy nie są ukończone? Zgodnie z ustaleniami budynek produkcyjny jest prawie przekazany. Właściwie nie przekazaliśmy tylko parteru i piwnicy, ale tam robi się poprawki malarskie i wszystko będzie gotowe.**

Jan Sokal: — **To może niezupełnie tak. Myśmy panie inżynierze umówili się, że przyjmujemy jako zasadę postępowania przekazywanie piętra po piętrze. Tak było? Zgoda?**

Krzysztof Fidala: — **Zgoda.**

Jan Sokal: — **Ale przyjmując tę zasadę ustaliliśmy, że możemy przyjąć piętro dopiero wtedy, kiedy będzie tam energia elektryczna, para technologiczna, ogrzewanie, będzie doprowadzone sprężone powietrze i będą działały dźwigi. Potrzebne to nam jest dlatego, że przejmując kolejne piętra chcemy je zagospodarowywać. A nie będziemy mogli tak postąpić, jeśli choć jeden z tych warunków nie będzie spełniony. A czy wszystkie warunki są spełnione?**

Tu do rozmowy wtrącił się zastępca dyrektora ZPO im. dr A. Próchnika — **Włodzimierz Zajdel.**

— Nie są spełnione, ponieważ nie ma windy. Cóż mi z tego, że ludzie mogą wejść na szóste i piąte piętro i zająć się przygotowaniem montażu, kiedy bez windy nic nie można dostarczyć na górę.

— Ależ winda jest — próbował oponować Krzysztof Fidala.

— Jak to jest, kiedy jest nieczynna — skontrował Włodzimierz Zajdel.

Krzysztof Fidala: — **Jest w trakcie odbioru.**

Włodzimierz Zajdel: — **Trwa to już dwa tygodnie.**

Krzysztof Fidala: — **Ale już w tym tygodniu Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Dźwigowych odbiera windę od ZUD. Z windami jest problem od 9 miesięcy. ZUD pracuje w mieszkaniówce, tam są ogromne potrzeby. Zrobili nam tu jedną windę i dalej już nie zrobią. Potrzeba było interwencji, aby drogą administracyjną zmusić MPRD, żeby zrobiło trzy pozostałe windy. Zresztą jest to nawet układ dla was korzystniejszy, bo MPRD zajmuje się konserwacją dźwigów i od razu solidniej zrobi trzy pozostałe windy.**

Włodzimierz Zajdel: — **Ja rozumiem, że bywają takie czy inne okoliczności. Nie wnikam w to. Mnie chodzi o aktualny stan faktyczny. A faktem jest, że nie ma windy i to kładzie nam całą robotę.**

Krzysztof Fidala: **Ależ winda jest.**

Włodzimierz Zajdel: — **Jest, tylko my z niej nie możemy korzystać.**

Krzysztof Fidala: — **Termin przekazania budynku produkcyjnego miał upłynąć 30 listopada. A ile już czasu trwa samo przekazywanie? W końcu trudno ustalić, czy termin został dotrzymany, czy też nie.**

„Próchnik" ma się przeprowadzić „w biegu", nie przerywając produkcji. Każdy z pracowników ma jeszcze tydzień urlopu, po wykorzystaniu którego przyszedłby już do nowej fabryki, do nowego miejsca pracy. Ale taki manewr można wykonać tylko wtedy, kiedy nowa fabryka byłaby dobrze przygotowana. 30 listopada 1976 roku nie było warunków dla wykonania manewru, który umożliwiłby szybkie i sprawne przeprowadzenie fabryki.

W tej sytuacji relacjonowany przeze mnie spór o windę nabierał znaczenia szerszego i stawał się sporem o sposób przejmowania inwestycji. Tym bardziej, że jak się okazało z dalszej rozmowy, która chwilami nabierała cech prawie kłótni, sprawa nie wyglądała wcale tak prosto.

Krzysztof Fidala: — **Ustaliliśmy z MPRD, które robi trzy pozostałe windy, że będą one gotowe na 20 grudnia 1976 roku.**

Jan Sokal: — **Ale czy będą?**

Krzysztof Fidala: — **Dlaczego mają nie być gotowe?**

Włodzimierz Zajdel: — **Jeśli pan nie będzie patrzył w umowę, ale popatrzy na sprawę realnie, to czy jest pan poważnie przekonany, że na 20 grudnia te windy będą gotowe?**

Krzysztof Fidala: — **Mamy z nimi takie ustalenia.**

Włodzimierz Zajdel: — **Ustaleń było już kilka. A my musimy wiedzieć z całą pewnością. Bez najmniejszej pomyłki. Bo my musimy ludzi puścić na urlop i oni muszą już przyjść do pracy do nowej fabryki. My nie możemy stracić ani jednego dnia, ani jednej godziny. Jeśli wrócą z urlopu i ich maszyny nie będą ustawione w nowym miejscu, to całe przedsięwzięcie weźmie w łeb.**

Jan Sokal: — **Poza tym my nie możemy ludzi traktować niepoważnie. My im musimy wcześniej powiedzieć, od kiedy będą mieli urlop. I oni nie mogą chodzić po urlopie bez pracy, tracić zarobek przez naszą nieudolność. Do tego nam nie wolno dopuścić. A poza tym my przecież mamy umowy z kontrahentami krajowymi i zagranicznymi, których nie nie obchodzi, czy windy zrobiono na czas, czy nie. I ich nie musi obchodzić, czy nam operacja przeprowadzki udała się dobrze, czy nie. Ale nas to musi obchodzić. My nie możemy przejąć fabryki, w której jeszcze przez rok ekipy budowlanych będą chodziły i usuwały niedoróbki i usterki, w której i to i tamto nie będzie sprawnie działało, bo nie dopatrzyliśmy tego przy przejmowaniu.**

W sierpniu sprawa była — tak mi się przynajmniej wydawało — dużo prostsza i bardziej optymistyczna. Wiadomo było, że jest termin: **30 listopada 1976 roku.** Można było tylko mieć wątpliwości, czy ten termin będzie dotrzymany. Wątpliwości okazały się uzasadnione. Ale teraz, **30 listopada 1976 roku,** sprawa wydała mi się całkowicie zagmatwana. Dlatego też zapytałam:

— Właściwie, kiedy „Próchnik" będzie mógł się przeprowadzić do nowych pomieszczeń?

Krzysztof Fidala: — **Po 20 grudnia.**

Włodzimierz Zajdel: — **Na początku stycznia.**

— W końcu więc nie bardzo wiadomo, kiedy. Nie brzmi to optymistycznie.

Jan Sokal: — **Ale i nie pesymistycznie. Jesteśmy już bliżej przeprowadzki niż byliśmy przed kilkoma miesiącami. I przyznam się, że byłem większym pesymistą. Myślałem, że później przeniesiemy się do nowej fabryki niż to się teraz rysuje.**

Było kilka terminów ukończenia budowy „nowego Próchnika". Ten ostatni, choć dość płynny, mam nadzieję, że będzie terminem realnym. Czy trzeba było ustalać terminy nierealne, kiedy wiadomo, że nie dysponuje się wystarczającą liczbą ludzi, że podwykonawcy nie są w stanie wywiązać się we właściwym czasie ze swoich zadań? Czy nie warto zapytać o koszt tak prowadzonej budowy? O koszt zarówno materialny, jak i społeczny?

Powróciłam do tematu z dziennikarskiej ciekawości, czy budowlani dotrzymają zobowiązania. Nie dotrzymali. Spróbowałam więc pokazać, dlaczego tak się stało. Spróbowałam pokazać anatomię poślizgu na jednym przykładzie, na przykładzie windy która dla fabryki jest sprawą kluczową, a której — jak to powiedział Krzysztof Fidala — **„od trzech miesięcy nie można było przeskoczyć".** I okazało się, że czasem wystarczy taka jedna sprawa, by dobre chęci diabli wzięli. I dlatego załoga **ZPO im. dr Adama Próchnika** w Łodzi nową fabrykę przejmie później niż to planowano. Przejmie z **poślizgiem.**

BOGDA MADEJ

PIŁKA NOŻNA (3)

Fot. W. Parya

KWADRANS ŚPIĄCEJ KRÓLEWNY

Dalszy ciąg ze str. 1

musiał być piłkarzem. Zrób z niego na przykład lekarza. Albo jeszcze lepiej — artystę. Ale zaraz... czym to niby artysta na scenie lepszy jest od artysty na boisku? Piłkarz także może dać ludziom radość, emocję, wytchnienie, może sprawić, że będą wydajniej pracować i bardziej kochać swój kraj. Tego pierwszego oglądają tysiące, tego drugiego miliony. Artysta szczyci się nieraz przyjaźnią sportowca. Więc może nie jest z nami tak źle? Może to, co robię, ma jednakże jakiś sens. Albo inaczej: może nic nie ma sensu — moje granie podobnie jak czyjeś malowanie, leczenie...

Kelner zabrał mi sprzed nosa pusty talerz i podał herbatę, która na metr biła gorącym aromatem rumu. Było tego chyba pół na pół i pijąc starałem się nie wykrzywiać ust.

— Gość pyta, czy może się przysiąść? — szepnął.

— Jaki gość?

— A ten tam, pod oknem.

— W bordowej marynarce?

— Tak.

— Czego chce?

— Nie wiem.

— Powiedz, że czekam na dziewczynę.

— Dobra... — Schylił się, żeby wyrównać obrus. — On mówi, że tylko na moment...

Spojrzałem na faceta, który siedział samotnie przy stoliku z nieruchomą, zagadkową twarzą hazardzisty. Nie wyglądał na zwariowanego kibica, co to trzęsie się, żeby zadać człowiekowi kilka obcesowych pytań, albo obrzucić go gradem komplementów. Był opanowany, dyskretny, nie patrzył w moim kierunku, choć musiał wiedzieć, że kelner daje mi cynk.

— Nie znam go — powiedziałem.

— Wiem.

— I nie chcę go znać.

— W porządku.

Coś za dużo dzisiaj tych facetów. Tak jakbym nagle poczuł przez salę smród pieniędzy...

Kiedyś, dwanaście lat temu, wierzyłem, że największym szczęściem jest wrzawa, która wybucha na stadionie po zwycięskiej bramce, i że sprawca tej wrzawy snajper, czuje się bogiem, kiedy publiczność porywa go w ramiona i triumfalnie niesie do szatni — kiedy słyszy o sobie w radio i ogląda swoje zdjęcia w gazetach — kiedy rozdaje autografy i przyjmuje pocałunki pięknych kobiet. Właśnie dla tej wrzawy, nie dla pieniędzy, stałem się tym, czym jestem. Ja, syn skromnego urzędnika z poczty, człeczyny, który zionął nienawiścią do sportu i łoił mnie, gdy wracałem ze szkoły w wypaczonych od kopania butach. Wrzawę tę przeżywałem we śnie, na dziecinnym łóżku pod wykrochmaloną kołderką, i w życiu — najpierw na ułomnych węglowych placykach, gdzie bramkę zastępowały dwie przykryte ubraniami cegły, potem, jako junior, na prawdziwym boisku, o trybunach głuchych jeszcze i pustych. Było to w innym mieście, w innym klubie, ale jak wszędzie: ci, co grali ze mną, okazywali się zazwyczaj synami robociarzy i biedaków, i jeśli któryś poważnie brał się za sport, jego nadrzędnym celem była zawsze ucieczka od nędzy, od głodu, od ciasnoty nieogrzanych mieszkań bez gazu i gorącej wody. Ze mną sprawa wyglądała inaczej. Nie uciekałem od nędzy, tylko od szarzyzny; myślałem, że grając uniknę urzędniczych zarękawków, których tak bardzo życzył mi ojciec, że będę jeździł po świecie, a przynajmniej po kraju, jadał w wytwornych restauracjach, sypiał w drogich hotelach. Pieniądze? Owszem. Ale na drugim planie. Na pierwszym był zawsze sukces, sława, którą syn robotniczy, a nieraz także syn urzędnika, zdobyć może z pominięciem studiów tylko wówczas, kiedy zdradza talent sportowy. Sport jest jedyną trampoliną biedaków, która wynosi ich czasem na społeczne szczyty i sprawia, że część z nich, mała część, widzi swoje nazwisko w gazetach większą czcionką niż nazwiska twórców, polityków i uczonych.

Miałem dryg do piłki. Jako chłopak, odznaczałem się dobrą budową, znacznie lepszą niż większość moich kolegów, którzy jednak górowali nade mną zaciekłością i odwagą. Byłem od nich na boisku mądrzejszy, zwrotniejszy, szybszy, poruszałem się z większą gracją i zamiłowaniem do widowiskowych efektów: zwodów, przeskoków, dryblingów. Póki piłka była u nogi, wiedziałem, co z nią zrobić. Bałem się jednak ostrzejszych starć, żeby nie oberwać w piszczel. Unikałem ciężkiej pecyny, kiedy szła mi na piersi lub w twarz. Tchórz, choćby najzręczniejszy, nie może być wielkim piłkarzem. Zrozumiałem to wcześnie, sam, bez pomocy trenera. I zacząłem zwalczać swój strach, tłukąc się jak męczennik, butem w golenie, z początku lekko, później coraz mocniej do prawdziwego, soczystego bólu. Wychodziłem z kuzynem na tyły podwórka, stawałem pod ślepą ścianą, nieruchomo, jak czekający na rozstrzelanie skazaniec, i kuzyn, z błyskiem satysfakcji w oku, rozpoczynał egzekucję waląc brudną, kamienistą piłką w moje nogi, w brzuch, w twarz. Zasłaniając jeden tylko czuły punkt, starałem się nie zamykać oczu i nie uchylać głowy. Odbijałem nadlatujące bomby spuchniętym, zbitym do czerwoności ciałem. A potem, w grze z chłopakami, szukałem bólu i ostrych starć. Będąc z natury miękki, rozpalałem się w walce; w przeciwniku widziałem wroga, którego trzeba zniszczyć, zanim on zdąży zniszczyć mnie. Napastnicy są zazwyczaj drobniejsi, ostrożniejsi od obrońców — próbowałem tę regułę odwrócić, tak, aby to oni mnie się bali, nie ja ich. Z czasem zdobyłem sobie opinię kosiarza, faceta, który budzi respekt w obrońcach, wchodząc w nich ze zwierzęcym okrucieństwem. Ale nie zmienia to faktu, że na dnie duszy pozostało we mnie coś z tchórza...

— Pan pozwoli?

Podniosłem głowę i zobaczyłem nad sobą tę spokojną, nieruchomą twarz. Stał w pozie dyplomaty — lekko pochylony, z rękami u boków. Czekał na gest zaproszenia, który z mojej strony nie wchodził w rachubę.

— Przykro mi — powiedziałem.

— Mam tylko dwa słowa.

— Przykro mi...

— Mnie też. Mógłbym pana zainteresować...

— Nie wykluczone. Ale teraz jestem zajęty.

— Zadzwonię do pana.

— Niech pan odejdzie.

— Dobrze. Po prostu do pana zadzwonię.

Już po chwili zacząłem żałować. Ciążą takie nie wyjaśnione sprawy. Kim był? Kaperownikiem? Gliną? Widziałem przez drzwi, jak odwrócił się bokiem do szatniarza, kiedy tamten podawał mu płaszcz. Dziennikarz? Może miał dla mnie sekretne informacje?.. Rozejrzałem się za kelnerem. Minęło już nieprzyjemne uczucie sytości; alkohol robił swoje, mięśnie znowu domagały się wysiłku.

Miałem chęć na kolejną herbatę, ale zwalczyłem ją w sobie.

Zapłaciłem.

Zostawiając samochód pod hotelem, ruszyłem biegiem do domu. Z początku wolno, potem coraz szybciej. Oglądali się za mną przechodnie. Zrezygnowałem z windy i wbiegłem po trzy stopnie na jedenaste piętro wieżowca. W pokoju rozebrałem się do slipów i zrobiłem na dywanie dwa razy po czterdzieści pompek. Odsapnąłem trochę i wziąłem się za przysiady — trzy razy po pięćdziesiąt. Później jeszcze nożyce, skłony, stójki, krótka walka bokserska przed lustrem. W łazience wytarłem się szorstkim ręcznikiem i chwyciłem za sztangę o wadze sześćdziesięciu kilogramów. Siedem razy wypchnąłem ją prawidłowo ponad głowę, a za ósmym ciężar wygiął mi ręce.

Wtedy zadzwonił telefon.

Włożyłem szlafrok, żeby nie tracić ciepła i podszedłem do aparatu.

— Słucham!

— Maksym?

— A, to ty. — Poczułem wielką ulgę i równocześnie złość. Starałem się nadać głosowi spokojny, w miarę bezbarwny ton. — Myślałem, że przyjedziesz.

— Nie mogłam, mama uparła się, żebym poszła z nią do teatru.

— Może to i lepiej...

— Lepiej?...

Była w tym zadra, więc powiedziałem szybko, za szybko:

— Bo nie grałem dzisiaj...

— Oooo!

— Byłem w podłym humorze.

— I nie chciałeś mnie widzieć?

— Nie o to chodzi. Chciałem. Tylko wiesz.. Puściliśmy mecz...

— Co zrobiliście?

— Puściliśmy.

— Nie możesz powiedzieć normalnie?

— W porządku. Przegraliśmy.

— Teraz lepiej. I co? Mam nadzieję, że przyjedziesz w niedzielę?

— Oczywiście. Musimy z wami wygrać.

— Z nami?

— No... z Fortuną.

— Aha. O której będziesz?

Nie obchodziły ją szczegóły, nie spytała mnie o wynik ani o kontuzję. Nie powiedziała słowa, które by miało bezpośredni związek ze mną. Wszystko, co mówiła, było chłodne jak marmur. Mimo to nie umiałem powstrzymać pytania:

— Nie zobaczymy się w tygodniu?

— Raczej nie. Ale zadzwoń w czwartek...

Jeszcze kilka błahych zdań, aluzja do prezentu, który przyjęła z dwuznacznym westchnieniem pożegnanie. Odłożyłem słuchawkę i pogrążyłem się w kłującej samotności. Od czasu do czasu dobiegały mnie przez otwarty lufcik odgłosy miasta — szmer opon samochodowych, wizgot tramwajów, pijacki śmiech dudniący w wąwozie ulicy. Wykąpałem się. Wziąłem ze skrytki kuchennej butelkę Smuglera, odmierzyłem sto gramów. Z zamrażalnika wyciągnąłem pojemnik z lodem, sparzyłem pod wodą i wtłoczyłem dwie kostki do szklanki. Wróciłem do pokoju i położyłem się na tapczanie. Pijąc, patrzyłem w telewizor, ale nie zapalałem go. Ten serial, co szedł w niedzielę, dla ta, sentymentalna chała, wywracał mi flaki.

O dziesiątej znowu zadzwonił telefon. Odczekałem trzy sygnały. To mógł być ten gość, ale równie dobrze ktoś z klubu, sprawdzający nas wyrywkowo, dwa — trzy razy w tygodniu, pod względem moralnym. O dziesiątej, reguła, musisz być trzeźwy i samotny w łóżku, bo inaczej jadą ci po premiach. A niuch mają taki, że wyczują gorzałę przez kabel.

Podniosłem mikrofon i usłyszałem zatroskany głos Węzła:

— Nie śpisz, Maks?

— Nie.

— Chciałem cię ostrzec... Uważaj! Jutro po południu masz być na rozmowie u Patrona.

— W porządku. Dziękuję — powiedziałem. Coś przerwało połączenie, więc odłożyłem słuchawkę. A kiedy telefon zaterkotał ponownie, puknąłem w widełki i wyciągnąłem sznur z kontaktu.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

UWAGA: PRZYRODA

W położonej na zachodnim brzegu Malezji starej rybackiej wiosce Kuala Juru zamiera życie. Jej mieszkańcy stracili swoje jedyne źródło utrzymania. Od lat żyli ze sprzedaży ryb poławianych w rzece Juru. Teraz nikt od nich nie chce ryb kupować, bo ryby śmierdzą. Kłopoty zaczęły się w roku 1968, kiedy na rzece stanął most o konstrukcji podobnej do tamy. Zwolnił się bieg rzeki, na brzegach zaczął się osadzać muł, ryby można było łowić tylko podczas przypływu. W dwa lata później na północ od wioski Kuala Juru wybudowano 39 zakładów przemysłowych produkujących między innymi olej palmowy, nawozy sztuczne, wyroby z plastyku i lekarstwa. Odpady z tej produkcji systematycznie zaczęły zanieczyszczać dopływy rzeki Juru. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Ryby zaczęły zdychać, a te, które wyławiano żywe, nie nadawały się już do jedzenia.

Podobne przykłady rabunkowej i bezmyślnej działalności człowieka w stosunku do jego własnego naturalnego środowiska można mnożyć i niekoniecznie trzeba sięgnąć aż do tak odległych terenów, jak wioska Kuala Juru. Człowiek przez wieki ujarzmiał przyrodę i oto doszliśmy do momentu, w którym w wielu regionach kuli ziemskiej przyroda zaczęła się cofać, a nawet ginąć. Pisze się już teraz o tym z coraz większą troską, powstają nawet prognozy matematyczne określające daty katastrofy ekologicznej. Problem ochrony przyrody stał się przedmiotem badań naukowych, a ostatnio nawet i działalności dyplomatycznej. Sprawa ta dotyczy wszystkich mieszkańców Ziemi, toteż słusznie pisze Antoni Kukliński w przedmowie do książki „Człowiek i środowisko", że „w naszych dyskusjach krajowych powinniśmy dysponować ogólnie dostępnymi materiałami zagranicznymi, aby nasze rozważania na temat środowiska człowieka nie obracały się w zamkniętym kole ograniczonych perspektyw".

Książka „Człowiek i środowisko" zawiera wybór opracowań prezentujących dorobek nauki radzieckiej w tej właśnie dziedzinie. Składa się ona z trzech części. Na pierwszą składają się artykuły omawiające znaczenie środowiska człowieka w badaniach ekonomicznych i planowaniu gospodarki narodowej. Druga część zapoznaje nas z dyskusją „okrągłego stołu", zorganizowaną przez „Woprosy filosofii", w której to dyskusji przedstawiciele różnych dyscyplin naukowych wypowiadają się na temat wielu aspektów ekologii człowieka i zadań współczesnej nauki w rozwiązywaniu problemów środowiskowych. Wreszcie trzecia część książki poświęcona jest przyrodniczym problemom środowiska człowieka w świetle studiów fizyczno-geograficznych.

„Mówi się np., że samochód elektryczny nie będzie dawał spalin — pisze J. B. Nowik, autor jednego z artykułów znajdujących się w książce „Człowiek i środowisko. — Jeśliby jednak porównywać pod tym względem miliony obecnych samochodów i miliony samochodów elektrycznych, to okaże się, że wynik tego porównania jest sprawą bardzo delikatną: przecież pole elektromagnetyczne jest nieobojętne dla zdrowia ludzkiego. Jest to przykład jednego z problemów naszych czasów i najbliższej przyszłości, które będziemy musieli rozwiązywać".

„Człowiek i środowisko", Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne", W-wa 1976 r., str. 344, cena zł 60.

USTA PEŁNE ZIEMI

Nowoczesna, bardzo oszczędna w operowaniu fabułą jest proza Branimira Scepanovicia, współczesnego prozaika serbskiego, autora dwu powieści, licznych opowiadań, sztuk radiowych, telewizyjnych i scenariuszy filmowych. Walory jego prozy możemy sprawdzić w wydanej właśnie przez PIW mikropowieści „Usta pełne ziemi" Pozornie paradoksalna pogoń grupy nieznanych sobie ludzi za bohaterem, człowiekiem nieuleczalnie chorym i przez to skazanym na śmierć nie tylko trzyma w napięciu, nie tylko odsłania mechanizmy ludzkich poczynań i zakodowane gdzieś w podświadomości pierwotne instynkty. „Usta pełne ziemi" trzeba traktować jako opowieść metaforyczną, w której można się doszukać symbolicznej wizji współczesnego świata.

Za mikropowieść „Usta pełne ziemi" pisarz otrzymał w roku 1974 najwyższe w Serbii wyróżnienie literackie, którym jest Nagroda Październikowa.

Branimir Ščepanović „Usta pełne ziemi", przełożyła D. Cirlić-Straszyńska, PIW, W-wa 1976, str. 59, cena zł 15.—

PROZA O MORZU

Temat morza pojawił się w literaturze bułgarskiej najpierw w poezji. O morzu pisał w drugiej połowie XIX wieku poeta Konstanty Weliczkow, ale także wielki Iwan Wazow. Od tego czasu wielu poetów bułgarskich opiewało piękno morza. Natomiast w prozie bułgarskiej długo zachowała przewagę tematyka związana z życiem wsi. Morze weszło do literatury wraz z modą na „Listy z podróży", ale służyło w tych utworach głównie jako tło opisywanych spraw. Proza marynistyczna w pełnym tego słowa znaczeniu pojawiła się w Bułgarii dopiero w ostatnim trzydziestoleciu.

Antologia bułgarskich opowiadań morskich, która ukazała się w serii „Światowa proza morska" nosi tytuł taki, jak opowiadanie Sławczo Czerniszewa „Błękitna kula ziemska". Obok autorów, którzy niejako specjalizują się w utworach marynistycznych, antologia przedstawia także pisarzy podejmujących tę tematykę tylko sporadycznie. Takich choćby, jak znany nam z polskich przekładów jego powieści obyczajowo-politycznej i historycznej — Emilian Stanew.

Wyboru opowiadań i przekładu dokonała Teresa Dąbek-Wirgowa. Ona jest także autorką wstępu i aneksu biograficznego.

„Błękitna kula ziemska", Wydawnictwo Morskie", Gdańsk 1976, str. 188, cena zł 35.—

NOC PO BALU

Utwory Włodzimierza Tiendriakowa, wybitnego prozaika radzieckiego, cieszą się popularnością nie tylko w jego kraju, ale także i u nas. Czytelnicy, którzy wcześniej mieli okazję poznać takie jego książki, jak: „Sąd", „Krótkie spięcie", „Spotkanie z Nefretete", „Zgon" czy „Wiosenne szachrajstwa", „Trzy worki pszenicy" z pewnością zechcą się również zapoznać z najświeższym przekładem prozy tego autora. Jest nim niepokaźnych rozmiarów tomik zatytułowany „Noc po balu". Podobnie, jak w innych swoich utworach tak i tu Tiendriakow koncentruje się wokół problematyki moralnej. Akcja „Nocy po balu" jest prościutka. Po zakończeniu balu maturalnego zbiera się niewielkie grono pedagogów, którzy zastanawiają się, w jaki sposób przygotowali swoich wychowanków do wejścia w życie. Czy dali im coś więcej niż tylko zapas wiadomości, czy wyszli poza program nauczania? W artystycznej formie zawarł Tiendriakow bodaj najistotniejsze problemy współczesnego szkolnictwa. I przecież nie tylko radzieckiego. Drugi wątek „Nocy po balu" to pierwsze, już zupełnie poważne i wręcz dramatyczne problemy, które nagle docierają do świeżo upieczonych absolwentów szkoły. Próbie zostaje poddana wzajemna przyjaźń i lojalność, trzeba dokonać nagle oceny własnej postawy i tego, co się wydarzyło do tej pory, podjąć trudną decyzję, która ma przesądzić, czy jeden z ich kolegów będzie żył. Noc po maturalnym balu zakończyła się zupełnie nieoczekiwanym dla młodych ludzi finałem. Drugim egzaminem, tym razem egzaminem z życia.

Włodzimierz Tiendriakow „Noc po balu", przełożyła J. Piotrowska, PIW, W-wa 1976, str. 106, cena zł 16.—

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

FELIETON HOMOGENIZOWANY

Homogenizacja znaczy **„wytwarzanie jednolitej, trwałej mieszaniny z dwóch lub więcej składników, nie mieszających się ze sobą w warunkach normalnych"**. Istnieją — jak wiadomo — sery homogenizowane, na przykład twarożek z truskawkami lub dodatkiem kakao.

Ale istnieje także zjawisko zwane homogenizacją kultury. Coś w tym guście oglądałem niedawno w jubileuszowym programie **„Co kto lubi". Hankę Bielicką** zmieszano tu z **Jadwigą Barańską**, słabiutki tekścik **Wiecha** z fragmentem „Kwiatów polskich" **Tuwima, Mieczysława Fogga** zmieszano z **Andrzejem Rosiewiczem, Połomskiego** z kabaretem **„Dudek"**... Ale była w tym programie mieszanina jeszcze ciekawsza. Wiersze **Norwida** zmieszano z **Danielem Olbrychskim.** Była to mieszanka sama w sobie — manieryczna deklamacja połączona z kabaretową gestykulacją i teksty wielkiego poety. Ludzie już się do tego przyzwyczaili tak dalece, że nawet nikogo nie zdziwiły w swoim czasie informacje prasowe, że Daniel Olbrychski na kiermaszu książki podpisywał... dzieła Norwida. Czy to znaczy, że poezję Norwida uważam za nietykalną? Skądże znowu! **Niemen** śpiewający wiersze **Norwida** nie uprawia, moim zdaniem, homogenizacji. Dlaczego **Niemenowi** udało się to połączenie? Nie wiem. Może dlatego, że **Niemen** jest naprawdę znakomitym artystą?

Ten felieton także jest homogenizowany. Myślę, że felietonista ma prawo do tak ostatnio modnego zabiegu. Telewizję zatem zmieszajmy z prasą. Oto **„Express"** informuje piórem swojego czołowego reportera: **„Niestety, jak się dowiadujemy, sztuczne drzewka nie posiadają zapachu lasu i dlatego, jeśli ktoś chce, by w mieszkaniu rozchodziła się w czasie świąt woń jodły, musi plastykową choinkę... skropić preparatem o zapachu jodły".**

Pomijam wstrząsającą stylistykę tego zdania. Jego sens informacyjny jest natomiast taki:

Po pierwsze: choinki z plastyku nie pachną.

Po drugie: dowiedział się o tym reporter „Expressu".

Po trzecie: chcecie zapachu jodły, to kropcie drzewka zapachem jodły.

Na dnie (dosłownie i w przenośni) tych informacji kryje się przekonanie, że tępota czytelnika sięga parametrów żyletki „Polsilver" po trzydziestokrotnym goleniu.

A teraz dziennikarstwo zmieszajmy z Wielką Sztuką. **Andrzej Partum,** ów słynny Partum piszący teksty, które prawdopodobnie rozumie wyłącznie sam, ujawnił się na łamach gazety Warszawskiego Środowiska Studenckiego. **Do Andrzeja Partuma** każdy może również napisać. Oto adres, który Wielki Mag podaje: **Bureau de la Poesie. 00-950 Warszawa. P.O. Box 126 Pologne.**

Tekst **Andrzeja Partuma** nosi tytuł: **„Pouczenie szmerem".** Czytamy w nim (w tym szmerze):

„Proces postępowej krytyki w sztuce, powstaje już od momentu wyłuskania z podmiotu własnego — wynikający zeń osobny rodzaj argumentu „xyz" na niekorzyść wszystkich funkcji krytycznych a nie wobec faktu twórczego — jako rzeczy sporu.

Przyjmując taką modyfikację dla pojęć tegoż krytykosystemu — określi się tę jakość postrzegania, gdyż tylko tak pojmowana koncepcja tworzenia, zaistnieje koncentrycznością swej roli sama sobą przeciwstawna. W języku sztuki nie zamkniętej gramatyki, implikacja tego pożytku, inaczej mówiąc — sposobu racjonowania intelektem po obszarze sztuki — stała się nagle na ręce adresata, samoucestwiającym zasięgiem twórczym i intymnym środkiem przekazu np. w Sztuce poczty. Wielość ilości archipelagów krytyk, udoskonala wątpliwość każdego systemu podstaw przekonania, po granice pokarmu idei przeciwko tej komunikatywności, która na płaszczyznach bytu zuniformizowanej społeczności i w ściśle wymierzonych granicach — nakazuje człowiekowi: iż będąc u źródła — musi trzymać naczynie".

Dalej jest w tym szemranym tekście coś na temat **„filatelistycznej koncepcji sztuki".** Być może chodzi tu o to, żeby pisząc do **Andrzeja Partuma** naklejać znaczki na list? Nie wiadomo. Wielki Mag i Oryginał stolicy stwierdza: **„pisząc unikam w swej praktyce myślowej — każdej metody".**

Ale w tym szaleństwie jest metoda. Jeśli dobrze odczytuję intencje Partuma (i jeśli tu w ogóle są jakieś intencje), to chodzi, być może, o to, że w tym naszym zorganizowanym, zaprogramowanym świecie potrzeba czasem odrobiny szaleństwa i szumu (szmeru) pseudoinformacyjnego, który nie udaje żadnej informacji, ale jest tylko i wyłącznie szmerem. I w końcu wolę to niż teksty dla półanalfabetów i kogel-mogel kabaretu z Norwidem.

WIDOK

LEWYM OKIEM

SCHODY I DRZWI

Pani Janina Słuszniak ogłosiła w **„Kobiecie i Życiu"** piękny i mądry artykuł pt. **„Pomóżcie otworzyć drzwi"**, poświęcony konieczności zwrócenia większej uwagi na ludzi niepełnosprawnych, upośledzonych, kalekich. Autorka walczy o to, aby wszyscy ludzie zawsze pamiętali, że stuprocentowa sprawność jest przywilejem skromnej zaledwie większości społeczeństwa, że dla znacznej liczby osób czynności, które mogły się wydawać proste i łatwe, są właśnie trudne a czasem i niewykonalne, jeśli im się nie wyjdzie naprzeciw.

Pani Słuszniak pisze o inwalidach, a pod tym co pisze można się tylko oburącz podpisać. Ale ja bym sprawę rozszerzył i to bardzo. Bo mnie się wydaje, że wszystkie fantastyczne pomysły i wynalazki, ułatwiające ludziom życie, realizowane są coraz bardziej z myślą o sportowcach, o ludziach silnych, zdrowych, śmiałych i zręcznych, jakby tych słabszych, chorych lub zwyczajnie starych z góry odpisywało się na społeczne straty; nikt się z ich słabościami nie liczy, tak jak by oni już się w ogóle nie liczyli. Przykładami można sypać jak z rękawa.

W wielu klatkach schodowych, a także przy schodach otwartych — w parkach, na dworcach, na ulicach, w różnych gmachach publicznych — wcale nie ma poręczy. Dopóki się nie przekroczy czterdziestki, nawet się takiego braku nie zauważy. Ale bynajmniej nie trzeba być inwalidą przykutym do wózka czy opartym na kulach, żeby wejście po schodach stało się problemem, a co najmniej trudną przeszkodą. Po co wymyślać przeszkody, zamiast udogodnień? Panowie projektanci, wy też dojrzejecie do „trzeciego wieku". Nie zapomnajcie o poręczach!

Nasze pospieszne autobusy miejskie tym się różniły — oprócz ceny — od zwykłych, że zatrzymywały się rzadziej. A później ktoś doszedł do wniosku, że wozów jest za mało, więc muszą szybciej krążyć. I zlikwidowano niektóre przystanki autobusów zwykłych, równając w górę, to jest do autobusów pospiesznych.

Owszem, kto wsiada w autobus „54" na placu Wolności i jedzie do placu Niepodległości, temu żadne przystanki po drodze nie są potrzebne. Natomiast kto na przykład wychodzi na Piotrkowską z ul. Zamenhofa, ten musi pieszo dojść do Andrzeja Struga albo do Mickiewicza, a to dla niesportowca szmat drogi. Przez tę pieszą dokładkę niesportowiec jest w drodze dużo dłużej niż dawniej i rzekome przyspieszenie nic go nie cieszy. Takich wydziwiań z przystankami jest w Łodzi sporo.

W wielu instytucjach, a także w wielu sklepach, założono na drzwi udoskonalenie, polegające na automatycznym zamykaniu. Sprężyny zamykające są tak silne, że trzeba boksera wagi średniej, żeby swobodnie otworzył takie drzwi. Przeciętni śmiertelnicy szarpią się bezskutecznie i czekają na pomoc. To samo jest z drzwiami tramwajów, które w dodatku trzeba otwierać stojąc o pół metra niżej, na jezdni. Nie ma takich, które by się nie zacinały. Jeżeli wśród czekających na przystanku nie ma sportowca-atlety, to nikt do takiego tramwaju nie wsiądzie.

Zresztą w takich wypadkach dopiero widać, że jesteśmy narodem młodym. Starych i słabych nie ma wśród nas. A może są, tylko siedzą w domu, albo latem karmią gołębie na najbliższym trawniku, bojąc się wypuścić na taki beztroski, rozpędzony, za trudny dla nich świat?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

CO ZROBIĆ Z TAKSÓWKARZAMI

Mieć samochód — to już nie tylko marzenie, to potrzeba wynikająca z obowiązującej hierarchii społecznych wartości. Posiadacz samochodu, nawet gdyby go używał tylko w niedzielę, liczy się w hierarchii wyżej od tego, kto samochodu nie posiada. A ponieważ dziś nie jest łatwo o samochód, trzeba zapisać się, wcześniej wpłacić, cierpliwie czekać, a więc ten, kto potrafi kupić samochód mimo tych wszystkich trudności, daje jeszcze o sobie dodatkowe świadectwo jako człowieka majętnego i obrotnego. Ale mimo ogromnego wysiłku inwestycyjnego, dzięki któremu powstały fabryki budowy samochodów, a FSO ma już 25 lat, nie stanowimy jeszcze potęgi na rynkach producentów samochodów osobowych.

Jeśli chodzi o produkcję samochodów osobowych na tysiąc ludności, to w ubiegłym roku produkowaliśmy 4,8 samochody, podczas gdy w NRD — 9,4, a w CSRS — 11,9. Również w użyciu — licząc na tysiąc mieszkańców — nie posiadamy tyle samochodów, co inni. W 1974 roku posiadaliśmy 27 samochodów osobowych na tysiąc statystycznych Polaków, a w NRD było 101, w CSRS — 90 i nie są to jeszcze szczyty światowej motoryzacji.

Samochód spełnia dziś u nas różne funkcje, od miernika społecznej pozycji począwszy a na przedmiocie kultu skończywszy. Ale mimo to nikt nie zaprzeczy, że jest on po prostu i wyłącznie środkiem lokomocji. A skoro tak, skoro tych środków lokomocji jest mało, a są potrzebne, bo ułatwiają szybkie poruszanie się, przenoszenie się z miejsca na miejsce, to — wydawałoby się — że istnieje potrzeba takiego wykorzystywania samochodu, aby mógł służyć jak największej ilości ludzi. Potrzebne są t a k s ó w k i. Potwierdzają to kolejki ludzi cierpliwie oczekujących na postojach taksówek. A taksówek nie mamy znów tak wiele. W ubiegłym roku było ich, w całym kraju 34.451, to jest trochę mniej niż w 1973 roku. Mniej również taksówek państwowych i trochę więcej niż było w 1973 roku spółdzielczych. A Łódź pod tym względem nie należy do miast przodujących w kraju.

Dawno się już przekonałem o tym, że jak mi się śpieszy, to nie ma co czekać na taksówkę, tylko trzeba jechać czym się da. Chyba że szczęście mi dopisze i uda mi się zatrzymać taksówkę na ulicy, a wtedy rzeczywiście znacznie zyskuję na czasie. Ale z tym zatrzymywaniem na ulicy to też nie jest sprawa taka prosta. Stojąc na chodniku nie wiem i nie muszę wiedzieć, czy przypadkiem na tym odcinku nie ma zakazu zatrzymywania się. Macham więc ręką, a taksówkarz puka się w czoło i pokazuje za siebie. O co mu chodzi? Okazuje się, że o znak drogowy, który zakazuje zatrzymywania się.

W innych miastach takie znaki nie obowiązują taksówek. W Opocznie na przykład pod znakami zakazu zatrzymywania się widnieją tabliczki, które głoszą: „Taxi do 1 min.". W Łodzi niestety nawet kiedy z taksówki korzysta człowiek chory, taksówkarz nie może go podwieźć pod bramę domu, tylko musi wysadzić tam, gdzie nie ma zakazu zatrzymywania się. A nieraz są to znaczne odległości. W takim przypadku korzyść z posłużenia się taksówką jest minimalna.

Mamy w Łodzi dwa duże domy towarowe: „Uniwersal" i „Central". Przed jednym i drugim są parkingi. Można tam podjechać, postawić samochód i udać się na zakupy. Jest to normalne i tak powinno być. Ale — jak przypominam — posiadamy na tysiąc mieszkańców w całym kraju 27 samochodów, a więc znaczna część kupujących nie dysponuje samochodem a chciałaby odwieźć zakupy do domu. Byłoby więc logiczne, że obok obydwu domów towarowych powinny być postoje taksówek. Przy „Uniwersalu" jest po drugiej stronie ulicy, za barem i kawiarnią, w sporej odległości. Przy „Centralu" nie ma w ogóle postoju taksówek. Dlaczego?

Usiłowano mi kiedyś wytłumaczyć, że taksówki w komunikacji miejskiej stanowią zaledwie margines i nie ma się co tym problemem zajmować. Być może w skali miasta nie jest to żaden problem, ale jak to jest w skali konkretnego, jednego człowieka obładowanego paczkami, któremu na dodatek śpieszy się. Mam wrażenie, że wtedy jest to zupełnie inny problem i o zupełnie innych wymiarach. Bardzo często jednak patrzy się u nas na różne zagadnienia z góry, w skali makro i wtedy wszystko wydaje się być w znakomitym stanie. Jednakże w takim patrzeniu zacierają się kontury, zanikają szczegóły. Inaczej ta sama rzecz wygląda widziana z dołu lub od środka. Tutaj znaczenia nabiera to, czego nie widać w skali makro, a co być może jest mało istotne, marginesowe, ale potrafi urosnąć do problemu, przesłonić całość zagadnienia, drażnić, uwierać i przeszkadzać. Byłoby oczywiście idealnie, gdyby każde zjawisko, każda sprawę można było oświetlić i obejrzeć ze wszystkich stron, być może wtedy udałoby się usunąć kilka drobiazgów, które bardzo przeszkadzają.

Uwagi te dedykuję odnośnym wydziałom Urzędu Miasta Łodzi, które są w stanie usprawnić i ten tak drobny wycinek naszego życia, jakim są taksówki.

MARCIN RODAK

UTRZYMAĆ ten „DRIVE“

Takim hasłem rozpoczynało się ubiegłoroczne wydanie „Estrady”. Chodziło o to, żeby iść dalej, „za ciosem”, żeby rozkręcone tryby Targów Estrady mieliy nadal na proch estradową szmirę, a rzeczy wartościowe wynosiły na powierzchnię.

Taki był cel i sens tej ogromnej imprezy prezentującej stan posiadania naszych przedsiębiorstw estradowych. Były tam rzeczy mierne i rzeczy interesujące, była żenująca amatorszczyzna i autentyczny kunszt artystyczny. Słowem — Targi Estradowe ujawniły, który król jest nagi, a który ma dobrze skrojony smoking.

A może Targi ujawniły zbyt brutalnie niedostatki w ubiorze? Nie wiem. W każdym bądź razie w roku bieżącym termin nowego krajowego przeglądu estrad w Łodzi został nieco przesunięty. Mimo to jednak warto się upierać przy rzuconym przed rokiem haśle: „Utrzymać ten „drive”. Okresowe badania lekarskie i prześwietlenie rentgenem, co tam komu w kolumnach głośnikowych gra, na pewno nie zaszkodzi. A jeśli gra fałszywie, to warto o tym wiedzieć, żeby potem nie zatykać uszu.

W podstawowym dokumencie Ministerstwa Kultury i Sztuki, określającym program rozwoju kultury na lata 1965—1990, w dziale „Estrada” czytamy: — „...najsilniejszymi nadal ośrodkami sztuki estradowej pozostaną: Warszawa, Kraków, Łódź, Gdańsk, Katowice...” Łódź jest w tym gronie wiodącym pośród czterdziestu dziewięciu województw, nie tylko poprzez Targi Estradowe — imprezę znaczącą i ocenioną wysoko, ale także poprzez codzienną, powszechną działalność artystyczną na estradach całej Polski. Łódź kulturalna stała się w ostatnich kilku latach modna. Osiągnięcia dejmkowskiego teatru, dobry start „Powszechnego” pod wodzą Kłosowskiego, renesans „Estrady” kierowanej przez Andrzeja Jóźwiaka, Łódzkie Spotkania Baletowe, Wytwórnia Filmów Fabularnych, Targi Estradowe, Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, festiwal teatrów studenckich i aktywne środowisko plastyczne, to elementy składające się na to, że o Łodzi kulturalnej głośno w kraju.

I właśnie dlatego trzeba utrzymać ten „drive”.

Tak rozpoczyna się „targowe” wydanie folderu „Estrada”, w którym znajdziemy interesujące refleksje na temat rozrywki, przemysłu muzycznego, kultury i chałtury. Dwie podstawowe publikacje folderu to artykuły dyrektorów dwu najbardziej prężnych przedsiębiorstw estradowych — Andrzeja Cybulskiego z Bałtyckiej Agencji Artystycznej i Andrzeja Jóźwiaka z „Estrady Łódzkiej”. Ponadto publikacja zawiera artykuły Marka Jaworskiego z „Trybuny Ludu”, Adama Augustyna z krakowskich „Wieści” oraz Zygmunta Kiszakiewicza ze śląskiej „Panoramy”.

Targi, to impreza o poważnym znaczeniu kulturalnym, ważna prestiżowo dla miasta, a w skali kraju otwierająca perspektywę współpracy wojewódzkich agencji artystycznych zwanych potocznie „Estradami” oraz stowarzyszeń i innych jednostek prowadzących działalność artystyczną. Przedstawicielom agencji estradowych zapewni się jak co roku możliwość spotkań impresaryjnych, zawieranie kontraktów, narad konsultacyjnych i specjalistycznych. Oprócz dyrektorów i kierowników artystycznych przedsiębiorstw rozrywkowych, na targi zaproszeni zostaną obserwatorzy reprezentujący wojewódzkie i miejskie wydziały kultury, domy kultury, związki zawodowe, gminne ośrodki kultury itd., itp.

W trakcie przewidywanych pokazów giełdowych zaprezentowane zostaną programy Anny Jantar, Dwa plus Jeden, spektakle Teatru na Targówku, łącznie około 20 programów pełnospektaklowych i dwa galowe widowiska rozrywkowe w Łódzkim Pałacu rejestrowane przez Telewizję Polską. Novum w tegorocznej formule Targów jest znaczny udział programów poetyckich, monodramów i małych form teatralnych w wykonaniu czołowych polskich aktorów.

Komisja Programowa III Polskich Targów Estradowych pod przewodnictwem Andrzeja Jóźwiaka, dyrektora PP „Estrada Łódzka” proponuje również specjalnie przygotowane koncerty, jak np. „Muzyka nocą — poezja śpiewana” z udziałem wykonawców ze studenckiego nurtu artystycznego, wieczór solidarności z narodem chilijskim (w spotkaniu z polską młodzieżą estradową, połączonym występem, weźmie udział chilijska grupa muzyczno-wokalna TIEMPONURVO) itd., itp. Dorocznym zwyczajem w ramach Targów obejrzymy wystawę plakatu estradowego, stanowiącą podsumowanie dorobku informacyjno-reklamowego lat 1975-76, instytucji estradowych, stowarzyszeń, firm fonograficznych i innych.

III Polskie Targi Estradowe zakończą się specjalnym koncertem Maryli Rodowicz, Krystyny Prońko i Koman Bandu oraz Andrzeja Rosiewicza z zespołem Hagaw.

Takie zgromadzenie w jednym miejscu i czasie całej plejady wykonawców estradowych oraz ekspertów i przedstawicieli krajowej rozrywki, duża ilość imprez towarzyszących i konferencji problemowych jest w pewnym sensie podsumowaniem tego, co dziać się będzie na polskiej estradzie w roku następnym. Między innymi organizatorzy Targów mieli na uwadze właśnie ten ważny czynnik bilansu artystyczno-ekonomicznego i przyszłorocznej promocji wyznaczając ostatni miesiąc br. jako termin tej istotnej i jakże potrzebnej akcji krajowego przemysłu rozrywkowego.

Małgorzata Cegiełkówna

Grupa „No To Co”

Grupa baletowa „Skat”

Jaga Paduch

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

PIOSENKA JAKO PROBLEM KULTUROWY

U boku sztuki słowa, jaką jest literatura, uformowały się dziedziny uważane przez wielu badaczy za „przyliterackie”: teatr i film. Aktualnie rywalizują one z literaturą na płaszczyźnie informacyjno-artystycznej, a jednocześnie urastają do rangi najistotniejszych zagadnień dla współczesnego teoretyka sztuki. N tomiast mnie zauważalny przez literaturoznawców pozostał problem piosenki, która choćby ze względu na warstwę tekstową w jakiejś korelacji ze sztuką słowa pozostaje. P.yczyna takiego stanu rzeczy zdaje się być fakt, iż systematyka zakresów poszczególnych dziedzin wiedzy nie zdecydowała ostatecznie w obrębie czyich kompetencji leży zainteresowanie piosenką: muzykologii, nauki o literaturze, czy może hipotetycznie istniejących „estradografii” lub „piosenkologii”? W tej chwili nie można na to pytanie udzielić precyzyjnej odpowiedzi. Jedno jest pewne — piosenka dzisiaj, w drugiej połowie XX w., jest , ważnym i godnym uwagi zjawiskiem kulturowym, którego podejmowanie w szkicach teoretycznych jest być może nieco ryzykowne, ale konieczne.

Generalnie rzecz biorąc, piosenkę jako całość rozpatrywać można w kilku aspektach:

1. w aspekcie estetycznym — jako specyficzną strukturę artystyczną;
2. w aspekcie socjologicznym — sposób odbierania piosenki przez społeczeństwo;
3. w aspekcie psychologicznym — piosenka jako zespół czynników ewokujących doznania psychiczne u odbiorcy;
4. w aspekcie semiologicznym — piosenka jako zespół informacji.

Niemożliwe jest dzisiaj rozstrzygnięcie, co jest starsze: utwór literacki czy śpiewana strofa. Przypuszczać należy, że tradycja obydwu sięga jednakowo głęboko w przeszłość. Historia piosenki wskazuje jednak, że jej ewolcja postępowała dwutorowo. Samoistnym i zrodzonym samorzutnie typem była pieśń ludowa, której rozwój — nie hamowany żadnymi normami — umożliwił wykształcenie się całości muz. zno-słownej w zasadzie nierozłącznej (do takiego wniosku doszedł już przed dwoma wiekami niemiecki filozof i teoretyk literatury — Johann Gotfried Herder), a jednocześnie — obok tańca — najbliższej wszelkim przejawom życia. Warto zauważyć, że w pieśniach ludowych melodia pełni rolę wiodącą, warunkując swą rytmiką istnienie określonego tekstu. Zgoła inny charakter miały utwory poetyckie recytowane przy podkładzie muzycznym (szczątkową formą tego rodzaju praktyk są zapewne stosowane dziś w piosenkach wstawki poetyckie — parlanda). W „Poetyce” Arystotelesa odnaleźć możemy wykaz gatunków poetyckich, którym „wtórowały” określone instrumenty muzyczne. Dźwięki tych ostatnich miały stanowić tło dla odpowiadających im typów poezji. Tak więc widoczna jest tutaj przewaga słowa.

Istniały, rzecz jasna, jeszcze inne próby łączenia melodii z tekstem (i odwrotnie), jednakże wymienione tutaj były najbardziej chyba powszechne i dlatego właśnie one wyznaczały, na pewnym etapie, możliwości ewolucji piosenki. Cechą wspólną obydwu przypadków była nieograniczona ilość wykonawców i potencjalnych wykonań oraz wyeliminowanie (poza pewnymi wyjątkami barier czasowych.

Trudno powiedzieć, czy byłoby wykonalnym prześledzenie, z perspektywy kilku tysiącleci, dróg rozwojowych piosenki, ale słuszna jest — jak sądzę — teza, iż dzisiejsza piosenka skupia, tak w warstwie muzycznej, jak i tekstowej, wiele wysublimowanych zdobyczy dawnych epok. Jest kontaminacją różnych tendencji i stylów, jest efektem doświadczeń trubadurów, minstreli i żebraków, wywodzi się z murów kościelnych i desek objazdowych teatrzyków, zachowuje pierwiastki „chanson” i groteski. I nawet daleko idące uproszczenia, jakie niejednokrotnie obserwujemy, są po części wynikiem tego wszystkiego, co było „przedtem”.

Mówiąc o piosence trzeba zdać sobie sprawę z tego, że jest ona całością wielotworzywową: korzysta zatem z kilku (a przynajmniej — więcej niż jednego) tworzyw, które warunkują jej istnienie. Posługując się terminologią zaczerpniętą z semantyki, można powiedzieć, iż piosenka korzysta z różnych systemów znaków. Pozostańmy jednak przy określeniu „tworzywa” — w przypadku piosenki są nimi: dźwięk muzyczny (ton) i słowo. Są to tworzywa bez których współistnienia piosenka nie mogłaby powstać. Na płaszczyźnie muzycznej — szeregowanie dźwięków daje w efekcie melodię (zazwyczaj błędnie funkcjonuje tu termin: muzyka), zaś na płaszczyźnie językowej — uformowanie tworzywa słownego staje się tekstem. Syntetyczne powi nie tych dwóch odrębnych warstw — to właśnie piosenka. I w tym momencie wypływa następne zagadnienie. Otóż — podzielone są zdania co do tego, czy jest to już ostateczna postać utworu, czy też staje się nią dopiero wykonanie estradowe. Gdyby prawdziwą okazała się ta druga wersja, wówczas powiększyłaby się liczba tworzyw, z których czerpie piosenka. Tymi dodatkowymi byłyby: aranżacja oraz int rpretacja wykonawcza wraz ze wszystkimi atrybutami prezentacji estradowej. Tak czy inaczej — nie ulega żadnej wątpliwości, że podstawą wszelkiej eksploatacji piosenki jest jednoczesna emisja melodii i tekstu na etapie wypowiedzi artystycznej.

Z drugiej jednak strony, istnieją przekonywające przykłady występowania piosenkowego” tekstu bez melodii. Mam tutaj na myśli takie przypadki, jak np. istnienie utworu słownego równocześnie jako tekstu piosenki i wiersza, funkcjonowanie tekstu piosenki (bez melodii) w widowiskach scenieczno-estradowych, publikowanie tekstu piosenki bez jednoczesnego podania zapisu muzycznego (nutowego), rozpatrywanie warstwy słownej piosenki bez kontekstu muzycznego. Wydaje się więc, że najsłuszniejsze byłoby tutaj przyjęcie następującej zasady: tekst wyabstrahowany z układu piosenki „przesuwa się” automatycznie poza obręb gatunku twórczego, jaki piosenka stanowi.

Z racji tego, że jest on tworem językowym można zdecydować się na wprowadzenie go w zakres literatury, która jak dotąd nie mogła czy też nie chciała adaptować go na pełnych prawach utworu literackiego, choć spełnia podstawowe wymogi wypływające z istoty literatury, będąc z gruntu wypowiedzią p a r a i n f o r m a c y j n ą.

Mówiąc o tekście, doszukać się możemy wielu punktów wspólnych z poezją, szczególnie jeśli zajmiemy się językiem tekstu. Ukształtowanie tworzywa językowego oraz posługiwanie się zaczerpniętymi z literatury sposobami organizacji zespołów słownych zdają się potwierdzać tezę o bliskim pokrewieństwie, jakie istnieje między tekstem piosenki i wierszem. Są jednak i różnice. Potencjalność syntetycznego montażu z melodią wymaga z reguły odpowiedniego dostosowania parametrów poszczególnych fragmentów tekstu do odcinków warstwy muzycznej i wysokiego stopnia wewnętrznego zrytmizowania.

Z tego wynika, że ów gatunek w tak specyficzny sposób wiążący dwie całkiem odrębne dziedziny: muzykę i literaturę („mała literaturę”, która jest jednak złotym środkiem do hołdowania formule Horacego, iż poezja winna być „dulce et utile” — bawić ucząc i uczyć bawiąc), ma nadzwyczaj skomplikowaną strukturę.

Osobną sprawę stanowi socjologia piosenki. Nikt nie potrafi autorytatywnie wyjaśnić, dlaczego w dobie podboju kosmosu właśnie piosenka stała się ważnym zjawiskiem kulturowym. Ale sam fakt pozostaje niezbity. Potwierdzają go ankiety przeprowadzane wśród społeczeństwa, potwierdza go także popularność różnych imprez piosenkarskich i ogólne zainteresowanie całym kompleksem spraw z piosenką związanych. To czyni ją zjawiskiem ważnym i w aspekcie pedagogicznym — w różnych możliwościach wykorzystania jej jako elementu wychowania społeczeństwa, a szczególnie młodzieży.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch”. Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch”. Nr indeksu 26762. Zam. 2507. R-2.